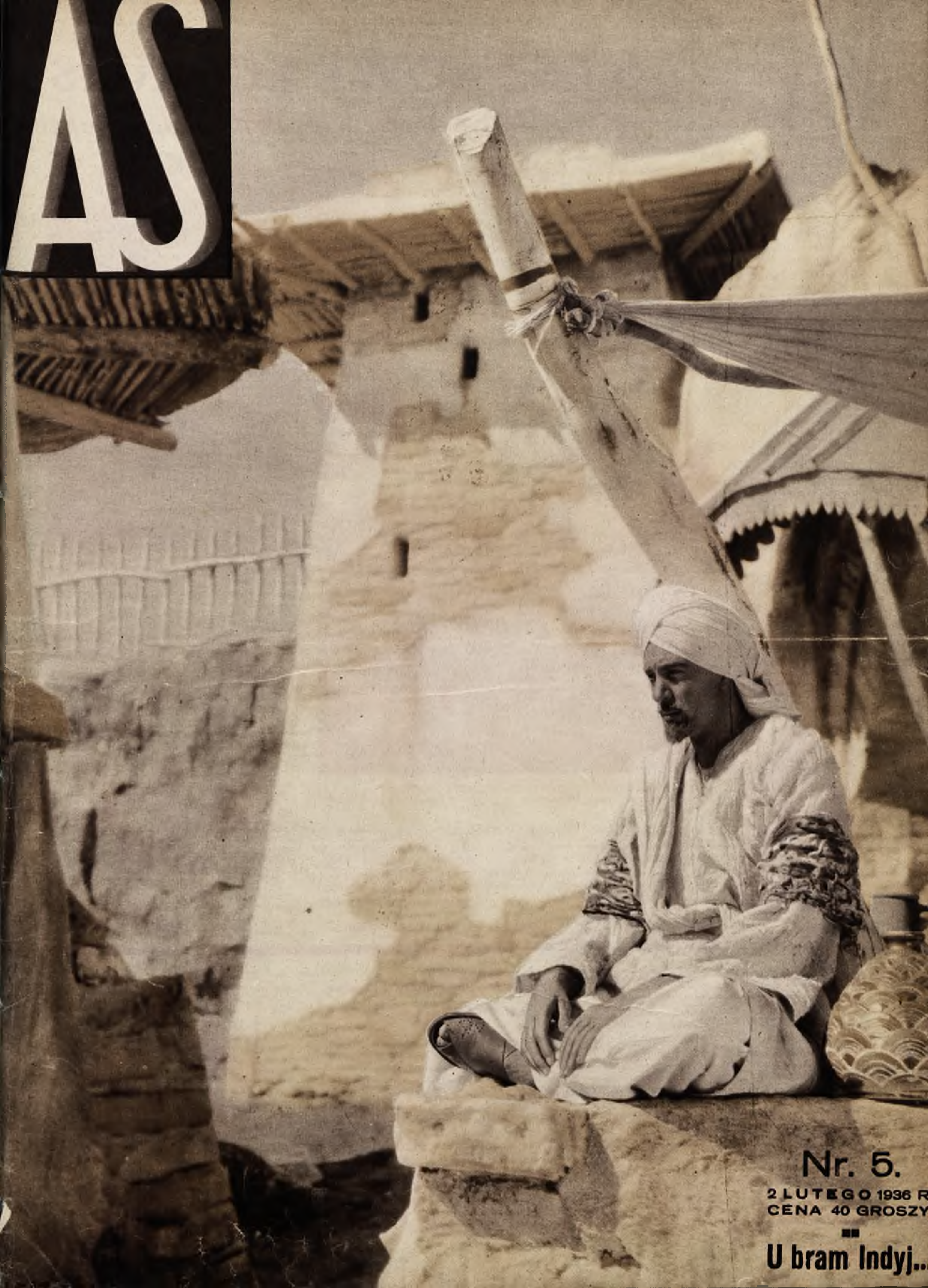

AS
Nr. 5.
2 LUTEGO 1936 R
CENA 40 GROSZY
U bram Indyj...



NASZ NOWY KONKURS

na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki.

Ogłoszony przez nas w nr 1 z b. r. „Konkurs na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki" wzbudził, jak to zresztą było do przewidzenia, wielkie zainteresowanie w kołach naszych Czytelniczek.

Poruszoną została przedewszystkiem wieś polska, gdzie żyjące dotąd ekskluzywnem życiem dwory i dworki, pałace i zamki kryją w swych murach niejeden wybitny talent sportowy, ujęty w wytworne ramy rasowej urody, popartej wiekową tradycją kultywowania pewnych gałęzi sportu, zrozumieniem ich estetyki w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Dowodem tego zainteresowania, to licznie napływająca do nas korespondencja ze wszystkich stron kraju, wskazująca u jednych na pewne wahanie, czy aby zdjęcia, które mają być wysłane, okażą się wystarczająco interesujące i odpowiadające warunkom konkursu — u drugich znowu lęk przed surową oceną głosujących Czytelników okazuje się silniejszym od pragnienia wzięcia udziału w naszym wielkim konkursie.

Owe nastroje, to naprawdę charakterystyczny dla naszych stosunków objaw, o jakim trudno nawet pomyśleć np. w Anglji, gdzie niemal wszystkie tygodniki, nie mówiąc już o takim „Sketch'u", poświęcają większą część numeru kronice towarzyskiej, otrzymując stosy fotografij i korespondencyj z życia tamtejszego high-life'u. A czyż sfery towarzyskie naszego kraju nie mają nic ciekawego do powiedzenia o sobie? Wprost przeciwnie! Brak im tylko odwagi do zdekonspirowania tego, co na Zachodzie dawno już znalazło odpowiednią formę publikacyj.

Zamieszczone w niniejszym numerze pierwsze zdjęcia należą do „odważnych", choć doprawdy w tym konkursie, idealnie akcentującym najbardziej wartościowe cechy współczesnej kobiety, trudno o momenty, hamujące inicjatywę w nadsyłaniu pięknych fotosów. Kupon do głosowania zamieszczamy na str. 30.



P. Anna z bar. Graevów Pętkowska, nad pięknym okazem jelenia, upolowanym przez siebie w lasach śmiłowskich (Wielkopolska).



„Amazonki z kresów". — Siemiakowce. Dwór. (Małopolska). — Na lewo: P. Marietta bar. Mengersen — Werbiąż. Dwór. (Małopolska).



Czy masz bujną fantazję!

KONKURS na najnieprawdopodobniejsze głupstwo.

W ostatnim numerze naszego Magazynu zapoczątkowaliśmy nowy rodzaj wesołych konkursów, tym razem „na najnieprawdopodobniejsze głupstwo", wyznaczając trzy nagrody pieniężne. Jedna w kwocie 100 złotych dla tego, kto zdobędzie tytuł „króla kawalarzy" i dwie po 50 złotych dla dwóch jego „szambelanów".

Runęła na nas istna lawina najrozmaitszych historyjek, z których jednak, jak dotąd, żadna nie otrzymała placet jury konkursowego. Wszystkie one bowiem nie utrafiły w sedno konkursowego założenia, którem jest wymyślenie najnieprawdopodobniejszego głupstwa, polegającego na dowcipnem ominięciu, zignorowaniu podstawowych praw np. fizycznych (jak to miało miejsce w owej przygodzie farmera ze szczurem), lub innych, przyjętych przez ludzkość.

W takiem opowiadaniu, którego objętość nie może przekraczać 30 wierszy pisma maszynowego, musi dominować humor, wynikający nie z dowcipnych powiedzeń, ale ze zręcznie przedstawionej sytuacji.

W takiem opowiadaniu, którego objętość powinni wstąpić przedewszystkiem ci wszyscy, których opowiadania przy myśliwskim krupniku, wesołej partji brydżowej, monotonnej podróży koleją i innych tym podobnych okolicznościach stają się potem źródłem najprzedniejszych „kawałów".

A więc do roboty! Niechaj nie zabraknie żadnego dowcipnisia u startu wiekiego wyścigu „Asa" o tytuł „króla kawalarzy"!

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 5 **Niedziela 2 lutego 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 5-GO:

Słynny nasz tenor, Jan Kiepura, nagrywa obecnie w Hollywood dla wytwórni „Paramount" wielki film p. t. „Daj mi tę noc". Partnerką znakomitego śpiewaka jest głośna z urody i wspaniałego głosu śpiewaczka opery „Metropolitain House" w Nowym Jorku, Gladys Swarthout. Na zamieszczonem powyżej zdjęciu widzimy jedną ze scen tego filmu: Kiepura, grający rolę rybaka, śpiewa, stojąc na pokładzie kutra, swą pieśń, która już niebawem stanie się przebojem muzycznym całego świata.

MALARZ ARCHITEKTURY ubiegłych wieków



Na prawo: M. Trzebiński: Rogatki Bielskie w Płocku.

W Warszawie przy ul. Szpitalnej l. 8 w kamienicy Wedla na szóstem piętrze mieszka od 39 lat w skromnej pracowni niezwykle ciekawy artysta-malarz.

W pracowni mnóstwo szkiców i rysunków zabytków architektonicznych z całej Polski. Pracownia robi wrażenie jakiegoś działu muzeum krajoznawczego, a sam artysta-malarz Marjan Trzebiński doskonale gra rolę kustosza objaśniając wyczerpująco wszystkie zabytki prastarej naszej architektury, rozsiane po całej Polsce, a zebrane skrzętnie przez utalentowanego i tak bardzo zasłużonego w tym kierunku artystę. Z tej to wedlowskiej pracowni, przepojonej smakowitym egzotycznym zapachem czekolady i wanilji, czyni artysta wypady w odległe okolice Polski.

Trzebiński odbył swe studja malarskie w krakowskiej i monachijskiej akademji. Wcześnie poświęcił swe życie utrwaleniu piękna architektury zapadłych naszych miasteczek. W długich wędrówkach po świecie, nauczył się cenić i rozlubował się w pięknie architektury. W pracach swych, wykonanych techniką rysunkową i akwarelową z nadzwyczajną sumiennością i z wielkim artyzmem wydobywa szczegóły piękna zabytkowej architektury. Właściwie cała produkcja artystyczna Trzebińskiego powinna znaleźć się w muzeach krajoznawczych Polski. Niestety tego rodzaju instytucje u nas są zbyt ubogie, aby mogły wykonać tę pracę, którą chlubią się inne narody, a przedewszystkiem skandynawskie. Talent artysty nie został również zużytkowany w zakresie konserwatorskim.

Marjan Trzebiński należy do tych pożytecznych artystów, których życiu przyświeca jakaś głęboka idea. Posiadłszy doskonałą własną technikę rysunkową zaznacza i wydobywa wszystkie najbardziej charakterystyczne formy architektury, a kolorem nakłada odpowiednie tony, stwarzając nie suchą ilustrację, lecz malarską kompozycję arcyciekawych architektonicznych motywów.

Niewiele dochowało się do naszych czasów zabytków drewnianego budownictwa. Niewiele znamy modrzewiowych dworków z epoki Soplicowa. Niszczeją one przez częste pożary, a przedewszystkiem obojętność ludzi i brak odpowiedniej opieki. Giną z dnia na dzień cenne dokumenty naszej kulturalnej przeszłości. Niszczeją przepiękne podhalańskie kościółki, owe wspomnienia krakowskiego gotyku, giną cerkiewki podkarpackie, wśród których znajdują się takie arcydziełka, jak słynna drohobycka, przywieziona na wozach z Kijowa i zmontowana przed 300 laty bez użycia gwoździ przez domorosłych budowniczych.

Niemal w każdem miasteczku znaleźć możemy cenne fragmenty budownictwa, świadczące o wiekowej naszej kulturze. Na ziemiach dawnego zaboru pruskiego oraz w części austrjackiego, zabytki te są w większości zinwentaryzowane i skatalogowane naukowo. Z najważniejszych posiadamy nawet zdjęcia fotograficzne. Natomiast gorzej przedstawia się sprawa inwentaryzacji zabytków sztuki na ziemiach danego zaboru rosyjskiego. A właśnie te ziemie stanowiły główny cel krajoznawczo-artystycznych wycieczek Marjana Trzebińskiego.

W sposób naukowy wyławiali znikające z powierzchni życia fragmenty zabytków zasłużeni nasi uczeni, jak prof. Tomkowicz, Matlakowski, Mokłowski, oraz artysta-malarz Eljasz Radzikowski i Tondos. Ich szeregi powiększył Marjan Trzebiński, który z pasją właściwą ludziom szczerze kochającym swój kraj poszukuje śladów minionej przeszłości wśród odłogów ziemi wileńskiej, lub bagien poleskich. Sztuką swoją wydobywa Trzebiński to, czego nie jest w stanie zanotować żadna klisza fotograficzna i żaden plan architektoniczny, a mianowicie sentyment i urok, oraz romantyczny charakter piękna minionej doby.

Marjan Trzebiński z niezwyklem po-



M. Trzebiński: Widok na Kurzą Stopkę na Wawelu.



M. Trzebiński: Starożytny spichlerz w Kazimierzu nad Wisłą.

święceniem i nakładem energji i materjalnych ofiar wyłowił z zapomnienia niejeden uroczy fragment ginącej architektury utrwalony subtelnym i wnikliwym ołówkiem i pendzlem.

Twórczość Marjana Trzebińskiego znałam z wystaw od wielu lat. Spotkawszy pewnego razu na wystawie w Zachęcie artystę, który właśnie wystawił przepiękny cykl akwarel z Krzemieńca, zwróciłam się do niego z prośbą, aby zechciał opowiedzieć coś o swej tak bogatej artystycznej działalności.

— Wiem, że zwiedził pan niemal całą Polskę. Która dzielnica naszego państwa podoba się panu jako malarzowi najbardziej?

— Wszystkie! — odpowiedział dyplomatycznie malarz.

— Szkoda, że Polacy tak mało znają swój kraj. Prawda, że podróże po ziemi naszej nie są ani łatwe, ani wygodne, ani tanie, lecz przy odrobinie dobrej woli i jako takiej prymitywnej organizacji, możnaby było wiele zmienić.

— Gdyby prowincja wiedziała, iż ludzie interesują się nią, to napewno polepszonoby warunki turystyczne, które w obecnym czasie są, zwłaszcza na wschodzie okropne. Muszę się pochwalić, iż przeszedłem Polskę wzdłuż i wszerz.


M. Trzebiński: Nowy Zjazd w Warszawie.


M. Trzebiński: Brama Ruska w Kamieńcu Podolskim.

— Czy zna kto np. Wągłczew?

— Otóż ja i tam dotarłem. W tej miejscowości znajduje się przepiękny klasztor Bożogroboców (Miechowitów, fundacji Łubieńskich). Zakon Bożogrobowców z reguły Templarjuszy szpitalnych wprowadził do Polski w pierwszej połowie XII wieku Jaxa herbu Gryf. Proboszcz wsi Wągłczewa otrzymawszy swą nominację, nie mógł w żadnym urzędzie dowiedzieć się, gdzie znajduje się ta piękna miejscowość, z budynkiem klasztornym, pochodzącym z XIII wieku.

— Od kiedy pan zaczął malować?

— Odpowiem w ten sposób, jak czynią to wszyscy artyści. Od czasów dzieciństwa. Będąc uczniem gimnazjalnym w Siedlcach, narysowałem karykaturę jednego z profesorów, jadącego na krowie. Rysunek obiegł całe miasto i poruszył wszystkich obywateli. Nigdy w życiu nie uzyskałem takiego rozgłosu i sławy, jak właśnie tym pierwszym rysunkiem. Chciano mnie nawet wyrzucić z budy, lecz znalazłem protektorów i mecenasów sztuki, którzy obronili mnie z tej opresji i zachęcili do dalszej pracy w tym kierunku.

Później studjowałem w krakowskiej Akademji, lecz zaledwie jeden rok, następnie cztery lata spędziłem w Monachjum u prof. Raupego. Było nas tylu Polaków, iż stworzyliśmy nawet swoją własną prywatną szkołę, prowadzoną w Monachjum przez Grocholskiego. Następnie odbyłem podróż po Francji oraz Italji, którą odwiedziłem za dobrych czasów 16 razy. Byłem nawet w Tunisie, a gdy tam spotkałem francuskich malarzy, to ci pochwalili się zaraz, że znają sztukę polską i zaczęli wychwalać najpierw twórczość Styków.

Przez kilka lat byłem też kustoszem muzeum w Lublinie.

Trzebiński w miarę, jak porusza dawne wspomnienia, staje się coraz rozmowniejszy.

— Niech pani zgadnie, ile też obrazów wystawiłem w Zachęcie od roku 1895?

— 40 lat, to szmat życia, a przy pańskiej znanej pracowitości, musi to być bardzo poważna cyfra.

— W istocie. Od tego czasu wystawiłem w Zachęcie 1025 prac, w tem także ostatni cykl z Krzemieńca, ukończony w listopadzie ub. r.

— Przypominam sobie dokładnie te piękne rysunki, oddające tak wiernie romantyczny urok miasta Słowackiego. Ciekawa jednak jestem, czy tak cenne prace pańskie znajdują nabywców?

— Hm! Bywa rozmaicie! Pewien np. dentysta, korego rodzinnem miastem był Kamieniec, nie należący niestety dziś do Polski, zaproponował mi za nabycie jednej pocztówki z wyczerpanego już cyklu, przedstawiającego Kamieniec... wyrwanie zęba, ewentualnie wstawienie nawet nowego! Dziś taka „baisse'a" na dzieła sztuki, iż pewna „paniuńcia" zaproponowała niedawno nabycie moich obrazków, ofiarowując 2 zł za jeden, 4 zł za drugi, a „aż" 18 zł za trzeci! „No, bo słyszałam" — powiedziała — „że dziś taka bieda u malarzy, a ja tak bardzo chciałabym posiadać te piękne obrazki Trzebińskiego"!... No, i zapewne do transakcji nie doszło...

— W młodości miałem wielkie zamiłowanie do portretów, zakochałem się później w architekturze, która daje mi tę samą rozkosz estetyczną, co muzyka symfoniczna. Maluję też architekturę dlatego, iż nie wymaga ona upiększenia i... lepiej pozuje!

K. D.


M. Trzebiński: Stara synagoga w Wilnie.

CIEKAWE DROBIAZGI.

CZŁOWIEK O OCZACH ROENTGENICZNYCH



Chociaż w ostatnich czasach zanotowano niejeden wypadek jasnowidzenia i stwierdzono naukowo zdarzenia, na pierwszy rzut oka wręcz nieprawdopodobne, to jednak bodaj że najbardziej niewytłumaczonym fenomenem jest pewien Hindus imieniem Kuda Bux, który nazywany bywa również „człowiekiem o oczach roentgenowskich". Poczynione z Kudą Bux próby wykazały, że, jak widzimy na naszej ilustracji, z zawiązanemi oczami znajduje on bez wszelkiej pomocy właściwą drogę wśród niezliczonych tłumów aut, rowerów i powozów na ruchliwych ulicach Londynu. Niejciekawszem było to, że nietylko nie doszło podczas jazdy jasnowidza do jakichkolwiek zderzeń, ale zastosowywał się on ściśle do znaków, dawanych przez londyńskiego policemana. Świat naukowy Londynu zainteresował się poważnie Hindusem i przeprowadził z nim szereg ciekawych doświadczeń.

DRAPACZ CHMUR ZE SZKŁA



Myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że Tokio, Kioto, Nagasaki, czy inne duże miasto japońskie nie posiada takich samych domów-olbrzymów, jak Chicago, Nowy Jork, czy inne metropolje Stanów Zjednoczonych. Japończycy, naród nadwyraz praktyczny, umieli dotrzymać kroku współczesnej cywilizacji i zastosowali się do wymagań dnia. Robią to tylko w sposób nadwyraz oryginalny, czego dowodem jest choćby wybudowanie w Tokio olbrzymiego drapacza chmur przez wielki koncern prasowy „Asahi". Drapacz chmur o tyle odbiega od tego, do czego przyzwyczailiśmy się w Europie lub Ameryce, że jest on cały ze szkła, przez co oczywiście budynek jest nadwyraz widny, a poza tem że jego szklanne ściany pokryte są różnemi oryginalnemi, choć — jak widzimy na zdjęciu — niezawsze zbyt artystycznemi obrazami. Przedsiębiorstwo, które podjęło się pomalowania ścian, dało koncernowi „Asahi" gwarancję, że malowidła przetrwają conajmniej 5 lat. Jeżeli chodzi o sam koncern prasowy, to należy on do największych domów wydawniczych na świecie, posiadając olbrzymią ilość czytelników.

TOALETA PAPUGI



Ostatnio odbyła się w londyńskim Crystal Palace ciekawa wystawa ptaków, która zgromadziła liczną publiczność i wielu amatorów hodowli ptaków. Wobec tego, że na wystawie znajdowały się również nad wyraz cenne okazy, a niektóre z nich wymagają specjalnej pielęgnacji, zawodowi hodowcy czyścili niektóre ptaszki bardzo sumiennie przed okazaniem ich oczom publiczności. Oto poranna toaleta małej papużki zapomocą pendzla do golenia.

ORYGINALNY TANIEC BASKIJSKI



W styczniu br. odbyła się w Londynie w Royal Albert Hall oryginalne przedstawienie, na którem wykonano wszelkie znane tańce ludowe, oczywiście w oryginalnych strojach. Główną atrakcję stanowiły tańce angielskie, ale również i inne kraje doszły do głosu. Wysoce ciekawym np. był taniec baskijski, zwany „tańcem szklanki wina". Polega on na tem, że tancerz stoi jedną nogą na szklance z winem, wyczynia różnego rodzaju ruchy i figury taneczne, nie wolno mu przytem oczywiście wylać wina ze szklanki. Na naszem zdjęciu widzimy próbę tego trudnego tańca przed przedstawieniem w Albert Hall.

DREWNIANY MOST CUDEM TECHNIKI



Jak wiadomo z wielu przykładów, Japonja w krótkim czasie zdołała nietylko dorównać Europie w technice i przemyśle, ale również ją przewyższyć w wielu wypadkach. Jest to o tyle dziwne, że w dostosowaniu się do obecnego tempa życia, Japonja zachowała w dalszym ciągu swój własny charakter. Do najbardziej ciekawych wyczynów techniki w kraju Mikada należy bezwątpienia most o wielu łukach, który w południowo-zachodniej Japonji budzi zrozumiałe zainteresowanie turystów. Most został zbudowany w r. 1663, a służył on w tym czasie nietylko celom praktycznym, ale również był schronieniem chrześcijan japońskich, którzy musieli ukrywać się przed okiem władz japońskich, srogo ich prześladujących.

KAZIMIERZ BURZYŃSKI ODPOWIADA NA PYTANIE

który moment w życiu zadecydował o mej karjerze?



Pierwszy pilot komunikacyjny w Polsce. — Człowiek posiadający ze wszystkich pilotów komunikacyjnych największą ilość przebytych kilometrów — blisko miljon — ściśle mówiąc 980.000. To znaczy dwadzieścia dwa razy wokół ziemi. To znaczy blisko dwukrotny lot do księżyca i raz spowrotem. 7.000 godzin lotu, 12 tysięcy przewiezionych zdrowo i bezpiecznie pasażerów. To wszystko w ciągu „zaledwie" 12-letniej karjery lotnika komunikacyjnego na naszych pasażerskich linjach lotniczych. 5.000 przelotów, a więc w ciągu 12-tu lat średnio więcej niż jeden przelot pasażerski dziennie. Od r. 1917 do 1922 w służbie lotniczej wojskowej. Początkowo w armji niemieckiej, potem polskiej, w randze podporucznika. — Obrona Lwowa, cała wojna bolszewicka. Szereg odznaczeń wojskowych: Virtuti Militari, Krzyż Walecznych, Orlęta. Człowiek na pierwszy rzut oka zdawałoby się nieprzystępny i ostry, a przy bliższem zetknięciu niezwykle spokojny, zrównoważony i wprost ujmujący. Oto skrót sylwetki Kazimierza Burzyńskiego, chluby naszego lotnictwa komunikacyjnego.

Mało interesowaliśmy się dotychczas „takim" lotnikiem. A przecież pilot komunikacyjny, to zawód niebezpieczny, pełen wielkiej odpowiedzialności. Zawód codziennej, żmudnej pracy, a równocześnie zawód pełen poezji.

— Proszę mi opowiedzieć — zagadnąłem swego rozmówcę — coś o swej karjerze lotniczej.

— Cóż — mówi skromnie pan Burzyński — latam i tyle! Lubię latać i kocham lotnictwo. W powietrzu czuję się lepiej niż na ziemi.

— A od kiedy odnajduje pan w sobie to zamiłowanie do lotnictwa?

— Oo, to dawno miałem wówczas szesnaście lat. Było to w roku 1912 w Poznaniu. Podczas jakiejś wystawy demonstrowano tam po raz pierwszy latający w powietrzu samolot. To była chwila, która zadecydowała o mem zamiłowaniu do lotnictwa. Latałem, jak pan wie, niemal przez całą wojnę. Przyszła demobilizacja. Wróciłem na wieś, na gospodarstwo rolne. Z tęsknoty do maszyny dłubałem przy ojcowskiej młocarni, budowałem różne latające modele.

— No i cóż dalej? — zapytuję zaciekawiony.

— No i byłbym tak może i dokończył żywota wśród tych modeli, marzeń i kółek młocarni, gdyby nie pewien przypadek. Oto w roku 1923 wezwano mnie na ćwiczenia wojskowe do Poznania.

— Więc znów pobyt w Poznaniu wywiera decydujący wpływ na pańskie życie?

— A tak. Już po raz drugi. Będąc w Poznaniu przypadkowo lowiaduję się o tem, że Towarzystwo Aerolloyd, które założyło pierwszą w Polsce linję lotniczą Warszawa—Gdańsk i obsługiwało ją narazie pilotami niemieckimi, zamierza zaangażować pilota Polaka. Natychmiast zgłosiłem się i zostałem przyjęty. Od tego czasu latam bez przerwy.

— Słyszałem — odzywam się — że jako pierwszego pilota komunikacyjnego, spotykał pana zawsze honor otwierania polskich nowych linij lotniczych?

— Istotnie, taka już ustaliła się tradycja. Otwierałem wszystkie linje, a więc do Wiednia, Katowic, Bukaresztu, Rygi, Tallina i Berlina. W r. 1931 odbyłem lot komisyjny do Aten, a to w związku z uruchomieniem komunikacji do Sofji i Salonik.

— Czy latanie jest trudne?

— Ależ nic podobnego! Mamy teraz wspaniałe nowe maszyny „Douglasy" amerykańskie z zainstalowanym tak zwanym „pilotem automatycznym". Zresztą czy może być coś nieprzyjemnego tam w powietrzu, ponad ziemią, tak blisko słońca? Przecież tam człowiek jest wolny jak ptak i szczęśliwy...

PAPUGI WABIĄ
NA WILEŃSZCZYŹNIE

Zdawało się, że ciężki mróz, który z przestrzeni międzyplanetarnych spłynął, na puszczę, wszelakie objawy życia w niej przytłumił.

Zamilkła jodłowa puszcza. Głodem wypłoszone z niej stada wronie z głośnym pokrzykiem „źreć! źreć!“ spłynęły ku wioskowym chatom, w leszczynowych krzach zataiły się zające, w zagajnikach pokładły się w śniegowiskach sarny, jak szare worki, jedna przy drugiej, grzejąc się czarnemi noskami. Przyczaiła się knieja, a tylko mróz po niej chadzał.

Aż oto, z pierwszym walnym śniegiem, który naniosły sine chmurzyska z północy, coś w pierwszych grudniowych dniach, po świerkowych gałęziach zamigotało barwnemi błyskami życie.

W ruchu i barwach, pełne głosów i ćwiergotania, aż poruszyły się firanki świerkowe. Mały kłębuszek życia, strojny barwistemi piórkami, zawisł na gałęzi. Czarnemi ślepiętami, ciekawemi perłami oczu ptaka, rozejrzał się po okolicy krzyżodziób, a potem jak żongler doskonały, po trampolinie gałęzi, w dół główką zawieszony, przy pomocy dzioba, piąć zaczął się ku zakończeniu ośnieżonych firanek jodły, tam gdzie zwisały zeń ciężkie owoce szyszek.

— Dżek! dżek! cir! göresehih! zawołał i mocnym chwytem szczęk zakrzywionych, opancerzoną szyszkę odłamał, w łapkę pochwycił i łakomie nasiona wyłuskiwać począł. Z sąsiedniej gałęzi ciekawie przechylając główki spoglądały ku niemu szaro-zielone samki. W nierównomiernych, kilkuletnich okresach, z krainy wielkich jezior Finlandji, z pierwszym śniegiem, do puszcz północnych Wileńszczyzny, spadają gromady tego najciekawszego polskiego ptaka.

Mimo licznych monografji ornitologicznych, (nad któremi pracowali tak dokładni uczeni, jak Niemiec prof. Neumann i Francuz prof. Perierre) niepoznany i tajemniczy w trybie swego życia, polska papużka północy krzyżodziób, zlatuje tu na zimowe swoje gody... Zrewoltowany przeciw odmiennym nakazom przyrody, niepamiętny czarów i słodyczy wiosennych nocy kochania ptak ten przedziwny w zimowej kniei, w śniegu dekoracji gniazda swe ściele, jaja składa i w warunkach najmniej odpowiednich. Młodym oczętom swego drobiazgu powierzchnię ich życia w zimowej szacie okazuje... Niestrudzony obserwator świata zwierzęcego Alfred Brehm, odnajduje jaja krzyżodzióba (loxia pityopsittacus) i w letnich okresach, co wskazywałoby na różnorodność okresu lęgowego polskiej papugi, a nie mogąc usystematyzować swych obserwacyj nazywa go „ein Zigeunervogel“, gdyż tajemniczy karmazyn polskiej braci ptasiej w ciągłych przelotach ukrywa przed staruszkiem Brehmem, tajemnice swego życia...

Nieobecny czasami przez lat szereg w naszej kniei, wiedziony tęsknotą, a popędzany zimą, która u brzegów morza Białego, Syberji Azjatyckiej i nad jeziorami Fińskiemi ścinała wszelkie objawy życia, krzyżodziób na Wileńszczyznę przybywa, by tu kilka tygodni pogościć.

Wtedy budzi się las z zimowego letargu. Stonowany w barwach szaro-zielonego retuszu, żyć teraz zaczyna czerwienią. Jak duże piłki tenisowe, pełne soczystej purpury — przeszywają jego ciche tło barwiste ptaki. Radosne są i wesołe. W gromadkach niewielkich krążąc wokół bogatych w szyszki jodeł, ćwierkaniem i gawędami budzą uśpiony las. — Nie usiedzą na gałęzi, ani chwili spokojnie. Ekwilibrystyką się popisując wobec spokojnie siedzących szarych samiczek, w ruchach swych gimnastycznych posiłkują się nietylko nóżkami, ale i dziobem, przypominając tem dalekie swe krewne, papugi.

Czyż krewne dalekie?...

Prawdopodobnie. Gdy w r. 1907, w szybie ropowym w Staruni odkryto w niskich pokładach dyluwjalnych, klasycznych reprezentantów fauny etjopskiej (północno-afrykańskiej), które padły w zdobywczym pochodzie lodowców skandynawskich, a które w okresie pliocenu zamieszkiwały nasze ziemie, prócz dobrze zachowanych resztek samicy nosorożca dwurożnego, odnaleziono maleńkie ciałko ptaka. Oddany wybitnemu zoologowi polskiemu prof. W. Szeliga-Mierzejewskiemu, doczekał się monografji jako bliski krewny naszego krzyżodzioba. Dyluwjalny ziarnojad (Loxia coccothraustes L.) istota z przed miljonów lat, papużka dyluwjalna, była niczem innem jak arystokratycznym krewnym krzyżodzioba, ptakiem, który własnemi oczętami spoglądał na paszące się antylopy, zebry, słonie i nosorożce nad brzegami pra-Wisły. A potem nadeszły ciężkie kataklizmy. Pierzchł sen o pierwotnym raju z ziem Polski, a z dalekiej północy pełzł wał bezwzględnie zabójczy lodowca, na kraj którego flora i fauna, zakwitała bajecznemi formami życia podzwrotnikowego. Dziś pozostały z tej epoki cenne wykopaliska, oraz te istoty, które do nowych form życia przystosować się potrafiły. Z antylop pozostały u nas kozice, a rzecz wielce prawdopodobna, że i krzyżodziób, arystokrata ptasiego rodu, wobec dawności którego Habsburgowie w paragon iść nie mogą, pozostał żywym dokumentem tej epoki przedawnej, w formach niewiele zmienionych, papugą polskiej kniei.

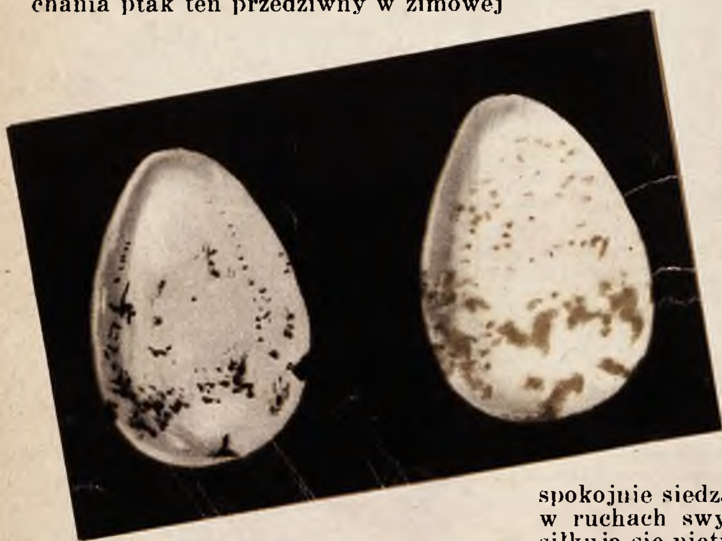
I śni się sen przedziwny o młodej ziemi...

W zimowe dnie, gdy świat jest uśpiony całunem śniegu, w puszczy jodłowej... papugi wabią na Wileńszczyźnie...

Feliks Dangel.



Papuga lasów północy, zwana „krzyżodzióbem-papużką“.



Jajka „krzyżodzióba“ posiadają oryginalne centki

PAJĄK KOSMOSU

JERZY JESZKE • NOWELA • ILUSTR. CHARLIE

Dan Wedey spoglądał nocą na gwiazdy, Dan Wedey żył oddechem gwiazd. Żywot Dana mierzył się miljonami lat świetlnych, dni jego były wykresem zawrotnych linij — elips. Dan Wedey nie chciał znać ludzi i kochał tylko gwiazdy.

Dan Wedey był człowiekiem. Szczegóły, dotyczące jego wieku, są mało znaczące. Przecież kamienie przydrożne mają swój wiek i historję, choć milczą. Utajone życie jest życiem podwójnem. Czy nas ludzi zastanawia życie głazu, spoczywającego na dnie rzeki? Jakże rzadko spoglądamy w nurt zdarzeń, zmywający nam codziennie stopy?! Nasza ciekawość nie sięga dalej, niż wzrok. Przeto przemijamy, ślizgając się po gładkiej powierzchni zwierciadła, wpatrzeni tylko we własne odbicie.

Dan Wedey spoglądał na gwiazdy.

Jak pająk, osnuwający srebrną nicią sufity, on haftował sufit nieba spojrzeniem i liczbą.

Zdala od zgiełku miasta, hen, gdzie w ciszy pól niknął odgłos dzwonka tramwajowego, wznosiła się wysoko oszklona kopuła obserwatorjum. W jasne, roziskrzone gwiazd migotaniem noce, Dan Wedey był na stanowisku. Od wielu, wielu lat przez szereg długich, od wieczności dłuższych nocy, Dan Wedey szukał.

Ona była tam! Ona była tam — w plejadzie gwiazd niewidocznych, Nemezis tańczących bytów, prażródło początku, ognisko harmonji. Dan Wedey wiedział, że nie ujrzy jej nigdy. Najdoskonalsze oko teleskopu daremnie będzie się wysilało wśród nocy przemijań, zapadających w głębie nieznane... Daremnie! Jej blask nie dla oczu śmiertelnych, o nie!

Dan Wedey uświadamiał to sobie doskonale.

Ona była tam! Ona była tam, niewidoczna, nieprzeczuta rachunkiem, zagadka ruchu.

Dan Wedey czytał z gwiazd. Dan Wedey posiadał wielką, boskiej niemal równą, wiedzę, znał drogi toczących się światów, wszystko przewidział i wyprzedził myślą.

Dan Wedey znał doskonale życiorys gwiazd, ich historję od chwili urodzin aż po zmierzch, Dan Wedey wszystko objął rachunkiem, nie znał tylko tajemnicy Początku.

Ona była tam! Ona była tam!

Punkt, w którym się przecinają wypadkowe wszelkich ruchów i obrotów, jeden jedyny punkt wszechświata, nieruchomy, trwały, aksjomat — Bóg.

Ona była tam.

Dan Wedey nie znał odpoczynku. Dan Wedey nie znał ludzi. Całe życie spędził pod sufitem nieba, coraz wyżej zarzucając swą sieć, stale bliższy, silniejszy, Bogu niemal równy.

Ostatni okres jego badań był kulminacją ludzkich możliwości. Dan Wedey stracił rachubę dni i pogardził ziemskim kalendarzem. Uwikłany w siatce wykresów i liczb, trwał w niepamięci ziemskiego przemijania.

Jeszcze, jeszcze kilka błyskawicznych nerwowych ruchów i Dan Wedey z okrzykiem zwycięstwa runął na posadzkę.

* * *

Po pewnym czasie woźny obserwatorjum znalazł Dana nieprzytomnego z silnie zaciśniętym grafjonem w dłoni.

Kilka długich dni i nocy trwał sen Dana Wedey. Kiedy otworzył oczy, przez wielkie szyby jego pracowni zaglądała przetykana gwiazdami noc. Dan Wedey leżał nieruchomo, zwrócony twarzą ku niebu. Powoli, powoli przypominał sobie szczegół po szczególe. Dan Wedey oddychał oddechem gwiazd. Leżąc teraz twarzą ku niebu, uświadamiał to sobie wyraźnie.

Dan Wedey był Bogiem!

Utwierdzenie się w tem przekonaniu spoczywało tylko w sprawdzeniu rachunku.

Dan Wedey był znowu przy pracy.

Po zastosowaniu pewnych formuł i wykonaniu wykresu, zasępiło się wyniosłe czoło Dana Wedey. Z takim trudem odnaleziony punkt odchylił się na miljonową część milimetra w prawo.

A zatem ruch — konkludował uczony.

Ręce Dana Wedey opadły ciężko, powolnie. Zwisającą bezwładnie głowę dźwigał niby olbrzymią zamarłą gwiazdę.

Dan Wedey spoglądał na roziskrzone miljonem światów niebo.

Ona była tam! Ona była tam w plejadzie gwiazd niewidocznych, jeden jedyny punkt nieruchomy, trwały.

Ona była tam.

Czoło Dana Wedey pokryło się koleinami licznych zmarszczek. Tak. Oto rezultat jego dociekań. Dwadzieścia lat spędzonych na wieży, dwadzieścia lat całkowitej izolacji od świata. A tam, tam zdala miasto zapomniane, płonące łuną świateł. Miasto jego pogrzebanej młodości, miasto jego marzeń umarłych. Dan Wedey uczuł w sobie nagle wielkie, niepohamowane pragnienie życia. Dan Wedey uczuł głód miasta.

Noc była letnia, pachnąca zapachem okolicznych ogrodów. Lśniąca w świetle lamp elektrycznych asfaltowa szosa, wiodła w samo serce miasta. Mimo późnej pory panował na niej ożywiony ruch. Raz po raz wystrzeliwały jarzące oczy rozpędzonych limuzyn, z otwartych okien podmiejskich will sączyły się odgłosy rozmów i dźwięki muzyki. Dan Wedey czuł, że w życiu jego dokonał się jakiś poważny wyłom. Dan Wedey wiedział, że iść musi.

W niespełna godzinę Dan Wedey szedł wolno w kierunku miasta.

Dan Wedey widział sylwety ludzi pochylających się ku sobie, słyszał słowa miłości, czuł niemal posmak pocałunków, któremi przesycona była ta ciepła, letnia noc. A tam w górze, kopuła nieba, otulająca miłośnie ziemię. Z gwiazd płynęło zda się błogosławieństwo dla zakochanych.

Dan Wedey zbliżał się ku miastu. Wielkie i nieznane stanęło przed nim. Dan Wedey wzdrygnął się jak człowiek, który ujrzał nagle oślizgłe cielsko olbrzymiego gadu.

Wąskiemi, dusznemi uliczkami przedmieść przemycał się jego cień przechylony. Kiedy, przystanąwszy, spojrzał na usiane gwiazdami niebo, zatoczył się jak człowiek pijany.

— Czemu się znalazł tutaj, on, który był tam?

Jestże jak ów sferoid zbłąkany?

Dan Wedey uczuł się obcym w tem mieście wrzaskliwem. Wielkie oświetlone place, gmachy piętrzące się gigantycznością fasad, oślepiający blask reklam, niemilknący na chwilę jęk tratowanych jezdni, dudniący podziemnym odgłosem puls żywej ulicy; wszystko to stanowiło silny kontrast z jego dotychczasowem życiem, spędzonem pod kloszem rozpiętego nad głową nieba, w cieniu milczących nocy.

Dan Wedey uczuł w sercu nieznany, kosmiczny lęk, lęk przed brutalną przemocą rzeczywistości.

Dan Wedey nie był z tego świata.

Na samotnem krążeniu wśród ulic zeszła Danowi noc. Nad miastem zwolna przygasały gwiazdy. Dan Wedey uczuł zmęczenie. W pewnej chwili usłyszał skoczne dźwięki muzyki i przytłumiony gwar głosów. Przed oczyma zatańczyły litery:

„Ruda Mysz".

Nie namyślając się wiele, Dan Wedey otworzył drzwi. Cofnąć się już nie było sposobu. Dwu lokai zdejmowało zarzutkę, trzeci wskazywał oświetlony korytarz, wiodący do głównej sali.

Hałas, tupot nóg, szalejący rytm dzikiego jazzu oszołomiły Dana. O piersi jego ocierały się ciała pół nagich kobiet, pot zmieszany z silnym odorem alkoholu omal nie przyprawiły go o utratę przytomności.

W pewnej chwili nad głowami obecnych wykwitła postać czerwono-włosej tancerki.

Tłum zakołysał się i zaryczał:

Stella! Stella—

Z brzękiem prysnęło szkło, strugami polało się po posadzce wino.

Stella! Stella!

Jakiś otyły jegomość rzucił pod jej bose stopy wielki pęk pąsowych róż. Towarzyszyła temu salwa oklasków.

Siedzący przy zaimprowizowanej estradzie pianista z rozmachem uderzył w klawisze. Stała się nagle pełna ekstatycznego oczekiwania cisza.

Dan Wedey przymknął na chwilę powieki. Zdało mu się, że słyszy oto dostojne stąpanie gwiazd po elipsach milczenia.

Stella tańczyła.

Giętko i miękko kołysały się jej biodra. Smukłe, długie nogi wykonywały ledwo dostrzegalne ruchy. To nie był taniec. To była symfonja taneczna. Harmonijny ruch ciała — matematyczna doskonałość.

W oczach Dana Wedey rozbłysło nagle usiane gwiazdami niebo.

Ona była tam! Ona była tam! Prażródło początku, zagadka ruchu.

Pianista szarpnął akordem, Stella wspięła się wysoko na palce i zamarła w bezruchu. Obecni wstrzymali oddech.

Dan Wedey uczuł, że w tym momencie zamarło jego serce, że oto nagle zastygły czas musnął jego skroń omdlewającem skrzydłem wieczności.

Zbudził go piekielny ryk ludzkich głosów i huragan ogłuszających oklasków.

Dan Wedey powstał ciężko i skierował się ku wyjściu.

Na mieście panował zwykły poranny ruch. Szelest mioteł, zamiatających ulice, zgrzyty otwieranych bram i ciepły zapach rozwożonego z piekarń chleba. Rzeczywistość chłodna i oślizgła stanęła przed oczyma Dana Wedey. Spojrzenia ludzi płoszyły go i onieśmielały. Poprawił zmięty kapelusz. Kroki jego dudniły dziwnie nieswojo. Nigdy nie słyszał tego niesamowitego echa, które zostawia po sobie człowiek w ulicy.

Dan Wedey delikatnym ruchem ręki zbudził śpiącego szofera i zaszywszy się w kącie auta, mknął lśniącą szosą za miasto tam, gdzie w ciszy pól niknął odgłos dzwonka tramwajowego, gdzie wznosiła się wysoko oszklona kopuła obserwatorjum....

Oblicze woźnego mieniło się wyrazem zdziwienia, gdy ujrzał czcigodnego męczennika wiedzy, wracającego z nocnej wycieczki. — Przecież jego miejsce było tam, na wieży pod kopułą. Profesor nigdy nie uchybił tej zasadzie. Dan Wedey milcząc, podawał kapelusz i laskę. Uczucie winy i obawy miotało nim naprzemian. To była jego pierwsza noc. Sprzeniewierzył się i upadł. Oto tej nocy zdradził tamtą daleką, niewidoczną z tą, płomienno-rdzawą dziewczyną, z nocnego kabaretu.

Za chwilę leżał na wygodnym tapczanie, objęty pragnieniem krzepiącego snu.

Kiedy się zbudził, przez wielkie szyby jego pracowni zaglądała przetykana gwiazdami

Dan Wedey ubrał się i zwolna skierował ku miastu. Dan Wedey wiedział, że iść musi.

I przyszło wiele nocy i przeszło wiele pachnących gwiazdami nocy. Dan Wedey — pająk kosmosu, nie haftował ściegami swoich myśli na nieskończonej kanwie gwiazd. Dan Wedey całe noce oddawał tamtej — dziewczynie z nocnego kabaretu. Wtulony w kąt sali, spoglądał na nią — rudowłosą, półnagą Stellę. On, który jak pająk, obejmował siecią swoich wykresów cały wszechświat, spoglądał na tę ziemską istotę z krwi i ciała tajemną siłą zbudzonego w nim pożądania.

Dan Wedey wiedział, że oto rozstrzyga się w nim walka decydująca, że oto musi dokonać ostatecznego wyboru. Dan Wedey cierpiał.

Już przeszło miesiąc trwa w tym stanie omroczenia umysłu. Zaprzestał wszelkich prac i mrozi go stalaktytowy chłód gwiazd i rozpięte nad nim milczenie nocy.

Stella! Ona była przyczyną tej bezmocy twórczej, która go opadła nagle i z wysokości podgwiezdnej rzuciła na ziemię.

Stella! Kiedy na nią spoglądał, czuł bliskość tej tajemnicy, która spętała harmonją bytu, która była źródłem wszelakiego życia. — Dan Wedey nie wiedział, że szukając tam daleko, ma właśnie tu, blisko, ostateczne zwycięskie rozwiązanie zagadki. A kiedy dochodził do tej konkluzji, ogarniało go radosne i błogie pragnienie niewiedzy. Co mu dały w rezultacie te lata żmudnych poszukiwań i gorączkowego wchłaniania wiedzy? A jednak...

Dan Wedey wiedział, że zbliża się moment decydujący w jego życiu.

— — — — — — — — — — — —

Pewnego dnia całe miasto zostało zelektryzowane niezwykłą wiadomością:

„...znany uczony, autor wielu prac z dziedziny astronomji, niestrudzony badacz zjawisk kosmicznych, zabił wystrzałem z rewolweru tancerkę nocnego kabaretu, popularną Stellę. Przyczyna zabójstwa nieustalona. Zabójca uparcie milczy. Z zeznań, udzielonych przez woźnego obserwatorjum dowiadujemy się, że prof. W. od kilku miesięcy zaprzestał wszelkich obserwacyj i stale przebywał poza obrębem zakładu. Powracał wczesnym rankiem, kładł się natychmiast na spoczynek i dopiero nocą udawał się do miasta. Kelnerzy, zatrudnieni w kabarecie, oświadczyli zgodnie, że zabójca Stelli był od dłuższego czasu bywalcem nocnego lokalu. Znajomi i bliscy stwierdzają stanowczo, że Stellę nic nie łączyło z osobą profesora W.

Przyczyny zabójstwa i jego źródło tkwi w zwojach mózgowych prof. W. i jest jego wyłączną tajemnicą".



Dan Wedey uczuł się obcym w tem mieście wrzaskliwem...



MIDWAY

STACJA NA PACYFIKU

Trasa samolotów amerykańskich, dążących z San Francisco do Kantonu.

Zagadnienie transoceanicznej komunikacji lotniczej nabiera ostatnio coraz większego znaczenia. Szczególnie w Ameryce zajmują się tem zagadnieniem bardzo intensywnie, nigdzie bowiem lotnictwo pasażerskie nie jest tak rozwinięte, jak w Stanach Zjednoczonych, nigdzie też nie posiada ono tak dogodnych warunków rozwoju. Do niedawna przejeżdżało się przez olbrzymie przestrzenie kontyngentu amerykańskiego jedynie koleją żelazną czy samochodem, obecnie rozwój lotnictwa umożliwia przebywanie daleko jeszcze większych przestrzeni w krótkim czasie. Punktem wyjścia tego rozwoju jest w Ameryce przedewszystkiem chęć zaoszczędzenia czasu, gdyż jak wiadomo, „times is money".

Pozatem uwaga Stanów Zjednoczonych skupia się przedewszystkiem na lotnictwie transoceanicznem, gdyż Stany Zjednoczone Ameryki Północnej sąsiadują przecież z dwoma oceanami, tj. Oceanem Atlantyckim i Wielkim czyli Spokojnym. Dopiero udoskonalenie lotnictwa transoceanicznego zbliża Stany Zjednoczone do inych kontynentów,, nic więc dziwnego, że oddawna przeloty ponad Oceanem Atlantyckim stanowiły punkt honoru U. S. A. i że Lindbergh stał się tam bohaterem narodowym. W tej samej mierze popierają Amerykanie lotnictwo nad Oceanem Spokojnym, przedewszystkiem ze względu na Filipiny, zależne politycznie i gospodarczo od Stanów Zjednoczonych, a ponadto ze względu na handel z Chinami.

Chodzi tu o olbrzymie przestrzenie, odległość np. ż San Francisco od Kantonu wynosi około 14.000 km. Do niedawna na pokonanie tych odległości potrzeba było trzech tygodni czasu.

Komunikacja samolotowa byłaby tylko wtedy możliwą na tak długim dystansie, gdyby można było umieścić na tej trasie jakieś przystanki. Wchodzą w rachubę oczywiście tylko wysepki. Początkowo myślano o wyspach sztucznych i powstał cały szereg odnośnych projektów. M. in. istniał projekt zastosowania sztucznego zimna celem zamrożenia części morza i na tak wytworzonej sztucznej wyspie lodowej miały być umieszczone budynki i urządzenia potrzebne dla lądujących wodnopłatowców. Inny znów projekt przewidywał stworzenie sztucznych wysp zapomocą kilku na stałe zakotwiczonych na Oceanie okrętów, z których wychodziłyby rurociągi, umieszczone w pozycji poziomej tuż pod powierzchnią morza. Rurociągi te miały być zaopatrzone w otwory, z których wydobywałoby się sprężone powietrze. W ten sposób możnaby wedle wspomnianego projektu mieć nawet w czasie największej burzy zapewniony spokój na pewnym odcinku morza, przyczem nie byłoby również wysokich fal. Odcinek ten byłby poświęcony wodowaniu hydroplanów.



Wodnopłatowiec „China-clipper", który zbudowany w Baltimore przez inż. Glenn L. Martin, przeznaczony jest do komunikacji transoceanicznej.

Na szczęście jednak niesłychanie kosztowne i bądź co bądź ryzykowne zbudowanie wysp sztucznych okazało się zbyteczne. Na Oceanie Spokojnym odkryto bowiem zupełnie opustoszałe i bezludne wysepki, które teraz okazały się nadzwyczaj przydatne.

Na przestrzeni między San Francisko a Kantonem znajduje się wysepka zwana Midway, zupełnie skalista i bezludna. Wysepka, doniedawna nie grająca żadnej roli, stała się obecnie nadwyraz ruchliwą, gdyż budują tam ulice i drogi i powstaje nowe miasto. Midway znajduje sią w oległości 6.080 km. od San Francisco, a 2.220 km. od Honolulu, pierwszego przystanku na drodze z San Francisco do Chin.

Midway oddalona jest o 2.510 km. od wysepki Guam, która stanowi temsamem trzeci przystanek od San Francisco do Kantonu. Czwartym przystankiem są Filipiny, a wreszcie Kanton. Tak więc zupełnie nieprzyzytatne i przez Boga i ludzi opuszczone wysepki nabierają nagle olbrzymiego znaczenia strategicznego i gospodarczo-politycznego. Dzięki tym wysepkom podróż z Kalifornji do Kantonu trwa tylko 60 godzin. Kursuje tam wodnopłatowiec China-Clipper, zbudowany przez Glenn L. Martina w Baltimore, waży on 25 tonn i przewozi za dnia 43 pasażerów z bagażem i prócz tego załogę z 7 ludzi, w nocy zaś 18 pasażerów i 7 ludzi załogi. Warto jeszcze przypomnieć, że nad rozwojem komunikacji transoceanicznej zapomocą samolotów pracuje z ramienia Stanów Zjednoczonych słynny Lindbergh, który podobno w tej właśnie sprawie wywędrował do Anglji. **Inż. A.**



Oto jak lotnictwo amerykańskie zamierza urządzić wyspę Midway. — Na prawo: Pułkownik Lindbergh, narodowy bohater Stanów Zjednoczonych, który pierwszy przeleciał przez ocean.



POKAŻĘ WAM ŚWIAT W 2036 ROKU

Napisał MAURICE DEKOBRA.



Znakomity pisarz francuski, Maurice Dekobra, w kabinie komendanta jednej z łodzi podwodnych, francuskiej marynarki wojennej.

Nikt nie może przewidzieć rozwoju stosunków socjalnych, politycznych i gospodarczych świata cywilizowanego na 100 lat naprzód. Mimo to jednak uważam, że można na ten temat snuć pewne przypuszczenia i stworzyć sobie obraz świata z roku dwutysięcznego po narodzeniu Chrystusa.

Czyżby życie wtedy przedstawiało się nudno i bezbarwnie spowodu pozbawienia go przez naukę wszelkich momentów niespodzienki, która jest niejako jego przyprawą?

Czyżby podróż, ten wspaniały środek przeciwko wszelkiego rodzaju spleenowi, jak również i miłość, ale też wszystkie inne nieszczęścia, którym podlega ludzkość, straciły wszelki urok z tego powodu, że nie będzie już lądów nieodkrytych, ras nieznanych i trudno będzie przeżyć jakieś romantyczne przygody, skoro wszelka poezja wygnana będzie ze świata?

A z innej znów strony, patrząc się na przyszły świat, zapytajmy się, czy bolszewizm ogarnie wtedy wszystkie kraje zachodnie i czy dwoje ludzi, którzy zamieszkują 10-pokojowe mieszkanie będą uważani za jakieś przeżytki i pozostałości z dawno zaginionego świata? A czyż literat znajdzie jeszcze jakiekolwiek tematy dla swojej opowieści, skoro kobiety nie będą już niewolnicami mężczyzn, a mężczyźni niewolnikami swych serc, te zaś znowu niewolnikami zmysłów, a zmysły nie będą chciały słuchać różnych środków kosmetycznych?

Na te wszystkie pytania możnaby dać równie wiele odpowiedzi, z których żadna jednak nie będzie się mogła ostać, gdyż żyjemy w czasach tak szybkich zmian, że żadne przewidywania nie mogą posiadać realnej wartości. Istotnie nikt dziś nie może powiedzieć nic pewnego, jakkolwiek bujanie w przypuszczeniach ma dużo uroku. Skoro jednak snucie obrazów przyszłości jest rzeczą ludzką, postaram się odpowiedzieć na kilka rzuconych pytań.

A więc:

Za 100 lat życie będzie tak skomplikowane i tak naukowo zorganizowane, że nie znajdziemy w niem ani trochę romantyki, ani przygód, podczas gdy moment niespodzianki, ów pieprzyk życia, zupełnie będzie wyłączony z niego. Również i podróże, tak jak je dzisiaj rozumiemy, owa rapsodja lokomotywy, która powoduje, iż miljony ludzi wyjeżdża w szeroki świat nietylko, aby szukać wiecznej młodości, co aby zmienić otoczenie, przestaną istnieć. Powodem tego nie będzie brak zainteresowania podróżą ludzi z roku dwutysięcznego lub brak chęci zmiany otoczenia, ale będziemy posiadali lepsze i szybsze sposoby przemierzania przestrzeni. Wszystko oczywiście jest względne, to też nie będę rozstrzygał, czy melancholijne pieśni ludowe z czasów Merowingów wyżej stoją od gorączkowego dyszenia lokomotywy i czy było lepiej odbywać podróż z Paryża do Nowego Jorku w ośmiu dniach, czy też z Paryża do Berlina w czterech godzinach. W każdym razie ludzie, którzy skarżą się na stratę czasu podczas podróży w roku dwutysięcznym nie będą mieli wiele po temu sposobności. Należy przypuszczać, że podróże w stratosferę będą również zwykłą rzeczą, jak niedzielne wycieczki do Maidenhead, Dieppe, albo do Coney Island. Z Paryża do Nowego Jorku będzie się odbywało podróż w piętnaście godzin i cały świat cywilizowany kurczyć się będzie, jak balonik dziecięcy, z którego uchodzi powietrze. Jestem przekonany, że w roku dwa tysiące słynni miljarderzy, jak Pierpont Morgan, Rockefeller i t. d. znikną z powierzchni ziemi, gdyż majątek ich zostanie przez te trzy generacje niejako wessany przez państwo. Ludzie XXI-go wieku będą uważali za rzecz niebywałą, że żyły kiedykolwiek jednostki, posiadające miljardy franków rocznego dochodu, podczas gdy równocześnie byli bezrobotni lub niezdolni do pracy, umierając nieraz z głodu. Coraz bardziej rozwijające się zmechanizowanie skomplikuje jeszcze bardziej problem nadprodukcji i zbytu, gdyż rozwój ludzkości nie będzie szedł równolegle do rozwoju nauki, tworząc w ten sposób olbrzymią przepaść między techniczną stroną życia, a jeszcze prymitywną duszą człowieka.

Jestem przekonany, że naukowy postęp zatruje poprostu duszę człowieka. Stanie się on, podobnie jak małe dzieci bawiące się niebezpieczną bronią, źródłem niebezpieczeństw dla samego siebie i dla całego świata. Nauka, to źródło wszelkiego postępu, spowoduje upadek ludzkości.

Mimo to wszystko istnieć będzie zawsze dosyć tematów dla powieściopisarza pod warunkiem oczywiście, że tego rodzaju ludzie jeszcze będą istnieć, a nawet wtedy, kiedy nauka narzuci miłości zupełnie rujnujące warunki. Twierdzą niektórzy, że technika zalotów rozwinie się do tego czasu znacznie. Potomkowie nasi z roku dwutysięcznego będą nas wyśmiewać spowodu naszych nieśmiałych prób zdobywania serca kobiety i drobnych awanturek. „Promienie serca" będą umożliwiały mężom uczynienie na odległość swych żon matkami, a promienie X będą przyszłym Romeom i Juljom dawać dokładny obraz ich stanu duszy. Kontakty magnetyczne powodować będą rozmnożenie czynów bohaterskich jakiegoś Casanowy, czy też Don Juana. Przewiduję zupełnie niespodziewane możliwości w tej dziedzinie i widzę wizje apokalityczne przyszłych kochanków, jak również pocałunki o napięciu 30.000 volt.

Ale czy warte to będzie jeszcze wysiłku? W głębi swej natura ludzka zmienia się bardzo mało, chociażby na pozór przybierała różne postacie. A poza tem z wielką wytrwałością człowiek trzyma się swego przywileju tworzenia sobie różnych iluzyj.

(Tłum. J. M.).

PŁYNĄCA STAL...

Moment wlewania do specjalnych form roztopionej stali w sowieckiej fabryce traktorów w Czelabińsku. →


DESSAU



PI ★ BETA ★ GAMMA



Czy wiecie państwo, co znaczy „kappa“? A „alpha“? No naturalnie, kto uczęszczał do gimnazjum klasycznego, pamięta z greki, zatruwającej niejednemu sztubakowi życie, że są to litery greckiego alfabetu. Dotąd sytuacja przedstawia się jasno. Kto jednak nie był za oceanem, napewno nie jest na tyle uświadomiony, aby objaśnić, co znaczy „Kappa Alfa Teta“, lub „Pi Beta Pi“, lub „Kappa Kappa Gamma“. To już są istne rebusy. Muszę je objaśnić. Tajemnicze, powyżej zacytowane litery greckie oznaczają poprostu kluby studentów uniwersytetów amerykańskich. Młodzieniec, uczęszczający na wykłady do „college“ musi bezwarunkowo — chyba że niema pieniędzy, co nagół należy do rzadkości w sferach inteligencji amerykańskiej — stać się członkiem akademickiego klubu. Stany Zjednoczone liczą ponad 80 takich klubów, gromadzących łącznie około 1 miljon członków. Słuchacze pierwszych roczników nazywają się „Freshmen“, a pogardliwa ta nazwa oznacza w przybliżeniu naszego żróbka. Ci biedacy stanowią przedmiot złośliwych nieraz żartów starszych kolegów, zwanych „Upperclassmen“.



Członkinie klubu „Delta-Sigma-Teta“ wyjeżdżają na spacer, przybrane w charakterystyczne togi i berety.

kluby amerykańskich studentek

Jak zapatruje się na to studentka amerykańska? Czy uczęszcza do klubów swych kolegów? Broń Boże! Chłopcy mają swoje „fraternities“, a zatem amerykańskie dziewczęta, uczęszczające na uniwersytet, założyły swoje „sororities“, czyli akademickie kluby żeńskie. Istnieje ich spora liczba, bo około 50, liczących ponad 250.000 członkiń. Lecz kluby amerykańskich studentów i studentek, to nie nasze zrzeszenia słuchaczy i słuchaczek, wypatrujące wsparć, liczące na akcję humanitarną społeczeństwa! To potentaci kapitału w całem tego słowa znaczeniu! Do amerykańskich „Sororities“ należy 6C0 gmachów, łącznej wartości ponad 20 miljonów dolarów. Klub studentek „Chi Omega“ posiada 87 filij, czyli że na każdym uniwersytecie znajduje się jedna. Do „sororitie“ o dziwacznej nazwie „Pi Beta Phi“ należy 78 filij, do „Delta Delta Delta“ — 76 itd. Imponuje nam to, nieprawdaż? Amerykańska studentka może pozwolić sobie na życie na wielkiej stopie!

Pod jednym względem nie różnią się zrzeszenia akademickie w Ameryce od naszych: są równie ekskluzywne i zaciekłe w dziedzinie narodowości, rasy, credo politycznego itp., jak i w Polsce. Prym wiodą „sororities“. „Fraternities“ są liberalniejsze. Istnieją akademickie zrzeszenia kobiece, oparte wyłącznie na łączności wyznaniowej, a zatem przyjmujące tylko katoliczki, albo żydówki, albo protestantki. Dwie kongregacje słuchaczek uniwersytetu są „czarne“ w całem tego słowa znaczeniu: „Zeta Pi Sigma“ i „Delta Sigma Teta“, należą bowiem do nich tylko murzynki. Biednemu Europejczykowi, który chciałby zorjentować się w tym istnym labiryncie nazw, celów i programów, mąci się dosłownie w głowie. Ci Amerykanie muszą być genjalni, jeżeli zdołali zorjentować się w tylu nazwach i odznakach! A trzebaby i to zaznaczyć, że nazwy te nic nie mówią i składają się wyłącznie z liter greckiego alfabetu!

I jeszcze jedna cecha, wspólna naszym i amerykańskim uniwersytetom — co zresztą potwierdzają sami profesorowie: Studentki amerykańskie przykładają się do nauki z o wiele większą sumiennością, aniżeli ich koledzy, opętani szałem sportu lub pasją politykowania. Czyż to nie tak, jak u nas? Zapał do nauki i sumienne przygotowywanie się do egzaminów nie przeszkadza Amerykance przykładać się z całym zapałem, właściwym młodemu wiekowi, do tańców, wszelkiego rodzaju sztuk pięknych, ani też nie hamuje ich ambicji, gdy chodzi o uzy-



„Święto maja“ jest uroczyście obchodzone przez mieszkanki amerykańskich „colleges“.



Niejedna ze studentek amerykańskich musi sobie dopomagać pracą fizyczną.

skanie premji na konkursie piękności. Koledzy znają te słabostki swoich towarzyszek i często urządzają konkursy piękności, na których wybierają conajmniej 10 królowych, aby uczynić zadość ambicji jak największej ilości pięknych koleżanek. Bezgraniczne jest szczęście takiej „college-girl", gdy nazajutrz po konkursie widzi swoje nazwisko w lokalnym dzienniku, lub też w piśmie, wydawanem przez uniwersytet. W jury konkursowem zasiada zazwyczaj jakiś popularny dyrektor rewji. Czy można sobie wyobrazić taki konkurs na którymkolwiek z naszych uniwersytetów? Nigdy w życiu! Ale też Amerykanie mają mniej trosk, a więcej radości i ukochania życia...

Jakżeż dziecinny, i naiwny jest snobizm studentek amerykańskich! Z dumą podkreśla każda z „sororities", jakie sławne i popularne osobistości są ich członkiniami. Mrs. Hoover należy do „Kappa Kappa Gamma". Lecz „sororities Gamma Phi Beta" bynajmniej nie czuje się upokorzone, bo zalicza do swoich członkiń córki prezydenta Wilsona! „To jeszcze nic — chełpi się „Chi Omega" — bo do naszego związku należała mistrzyni tenisu Helen Wills!" W ten sposób prześcigają się wzajemnie „ sororities", podkreślając swe znaczenie i stanowisko.

Jeżeli dany klub akademiczek nie może zaimponować drugiemu arystokratycznemi członkiniami, w takim razie walczy w inny sposób o sławę i znaczenie. Monopolizuje akcję społeczną i humanitarną, wskutek czego specjalnością tego klubu staje się opieka nad niedożywionemi dziećmi, nad szpitalami, nad przytułkami dla starców itp. Jeszcze inny klub dąży do zajęcia czołowego stanowiska, jako elita umysłowa. Członkinie tego klubu — takim klubem jest właśnie „Chi Omega" — stają się autorytetami w zakresie badań naukowych.

Tradycje i zwyczaje klubów akademickich przypominają stosunki żakowskie na europejskich uniwersytetach w wiekach średnich. Nie należy sądzić, że piękne Amerykanki i pod tym względem nie naśladują swoich kolegów! Wyższe roczniki znęcają się nad niższemi do skrajnej ostateczności. To też każda studentka jest szczęśliwa, gdy ma już poza sobą ten nieszczęsny pierwszy rok. Własne cierpienia nie uczą jej litości. Zaledwie staje się „upperclass-girl", a już znęca się w ten sam tradycją przepisany sposób nad „freshgirl".

Żarty te nie są pozbawione praktycznych korzyści. Tak np. panuje na wyższych kursach zwyczaj, że wylosowane słuchaczki na pierwszym roku licytuje się jako niewolnice dla wyższych roczników! Niedawno odbyła się w jednym z klubów żeńskich taka licytacja 18-tu „fresh girls", a dochód z licytacji został przeznaczony na wspólne przyjemności. Sprzedane niewolnice muszą przez cały rok utrzymywać w porządku garderobę swoich pań, latać na posyłki, prowadzić ich korespondencję, prać, prasować, cerować, czyścić buciki itp.



Na prawo: Studentki amerykańskie chętnie uczestniczą w konkursach piękności.

Raz na tydzień odniki sąd nad niewolnicami. Biada tej, która okaże najmniejszy bodaj brak dyscypliny! Takie oporne niewolnice prowadzi się do piwnicy i wydziela — naturalnie bezboleśnie i żartobliwie — odpowiednią porcję razów. Najgorsza dla biedaczek jest sobota. Muszą wówczas czyścić okna, doprowadzać do porządku srebra, należące do inwentarza danego związku, szorują podłogi, a nawet zajmują się robotami polnemi na farmach związków.

Rzecz zrozumiała, że matki tych męczennic tradycji związków studenckich nie są zachwycone takiemi urządzeniami. Jakżeż tu wybrać się na bal z córką, która ma ramiona i plecy wytatuowane insygniami związku? Ale córki są dumne z tych oznak i nie dają sobie wyperswadować zbyteczności ich skrajnych obyczajów. Zachodziły już wypadki, że zrozpaczone matki zwracały się do prasy kobiecej z prośbą o wzięcie w obronę „Freshgirlsów". Wszystko daremnie. Dzienikarki amerykańskie wychodzą z tego założenia, że jeżeli zwyczaje „sororities" nie podobają się studentkom młodszych roczników, mogą każdej chwili wystąpić. Widocznie jednak praca niewolnic nie jest taka straszna, skoro studentki amerykańskie garną się tłumnie do związków i są dumne z przynależności do nich. Zresztą korzystniej jest dla tych rozkapryszonych miljonerek spełniać zajęcia domowe, a nawet raz na pewien czas dostać cięgi od starszych koleżanek, aniżeli urządzać wycieczki samochodowe z młodymi chłopcami i ohydne orgje z pijaństwem podczas campingów.



Oryginalna orkiestra studentek uniwersytetu „Canoga" w Kalifornji.



Na prawo: Adela Hale, komendantka posiłkowego korpusu studentek uniwersytetu w Kansas.

Tak zapatrują się kobiety amerykańskie na wychowanie córek. Uniwersytety i kolegja w Ameryce muszą widocznie dostarczać społeczeństwu wartościowego materjału, skoro obecnie Związek Kobiet z Wyższem Wykształceniem w Ameryce liczy 45.000 członkiń i pokrywa 75 proc. wydatków całej federacji światowej.

Cele związku amerykańskiego są wzniosłe i skrupulatnie wykonywane. Kobiety, należące do federacji, starają się podnieść poziom wykształcenia uniwersyteckiego przez wzbogacenie procesu nauczania, dbają o dokształcanie dorosłych, fundują stypendja międzynarodowe dla ubogich studentek, krzewią żywe zainteresowanie sprawami publicznemi, oddają się pracy kulturalno-zawodowej — federacja utrzymuje 26 własnych teatrów — i wreszcie założyły Ligę potrzeb konsumentów, mającą na celu udogodnienia domowe. Na tę bohaterską pracę społeczną zdobywają się te właśnie kobiety, które podczas studjów zachowują radosną świeżość młodości, unikają charakteru sawantek, wzbogacając równocześnie swe umysły.

Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że wiceprezeską światowej federacji kobiet z uniw. wykształceniem jest Polka, dr Adamowiczowa w Warszawie. W sierpniu bież. roku odbędzie się generalny kongres delegatek federacyj ze wszystkich krajów świata w Krakowie.

Marja Manberowa.

BALETNICE NA ŁYŻWACH...

Niewiadomo czy taniec na lodzie jest jeszcze sportem czy już produkcją artystyczną, zwłaszcza, że w wielu wypadkach graniczy już niemal z akrobacją. W każdym razie jest to ta gałąź sportu, która ma najmniej bodaj przeciwników i popisy łyżwiarzy i łyżwiarek ściągają na tory lodowe taką publiczność, która przeważnie omija skrzętnie boiska piłkarskie i ringi bokserskie.

Z rozrywki dziecinnej taniec na lodzie rozwinął się w potężną dziedzinę, której opanowanie wymaga całych lat pracy, z dowolnie i bardzo liberalnie pojętej metody posuwania się po lodzie na łyżwach przeszedł w zamkniętą przepisami gałąź ćwiczeń fizycznych.

Przeciętny widz, obserwujący wspaniałe popisy takiej królowej tańca na lodzie, jak Sonja Henie, odnosi wrażenie, że taniec jej jest czemś zupełnie dowolnem i niezależnem od przepisów. Nie widzi widz ten, że równocześnie kilku sędziów bacznie obserwuje popis łyżwiarki i ocenia nietylko pozycję tancerki i jej wygląd w tańcu, ale także rysunek, wykonany ostrzem łyżwy na lodzie. U mistrzów wysokiej klasy precyzja jest doprowadzona do tego stopnia, że kilkakrotnie gotowi są przejechać z milimetrową wprost dokładnością po raz narysowanym śladzie na lodzie.

Ale publiczność niewiele interesuje się temi finezjami. Ją porywa wdzięk tancerki czy tancerza i synchronizowanie ruchów tancerki z podkładem muzyki. Tradycyjnie już podkładem do tańca na lodzie jest stary ale jakżeż melodyjny walc wiedeński i dopiero w ostatnich latach dokonano wyłomu w tej zasadzie, stosując do popisów także melodje w innym rytmie jak np. foxtrotta czy tanga. Słynna para niemiecka Maxie Herber i Baier zaangażowała nawet kompozytora, który do ich tańca napisał specjalną muzykę. Każde zawody w jeździe figurowej na lodzie dzielą się na dwie części. Pierwsza jest t. zw. jazda obowiązkowa, w której łyżwiarz musi wykazać się umiejętnością wykonania kilku figur, raz na zawsze przepisanych przez regulamin. Na drugą zaś część składają się figury dowolne i tutaj pomysłowości tancerzy, a raczej ich trenerów, nie kładzie się tamy. O ile pierwsza część zawodów jest bardziej zrozumiała dla fachowców, o tyle druga porywa zwykle publiczność, która skłonna jest do oceny łyżwiarza raczej na podstawie tej drugiej części i niejednokrotnie jest rozczarowana wynikiem, ustalonym przez sędziów na podstawie wykonywania jazdy obowiązkowej.

Od szeregu lat na tronie mistrzowskim wśród pań zasiada przedstawicielka Norwegji — Sonja Henie. Odziedziczyła ona tron po słynnej łyżwiarce wiedeńskiej pani Plank-Szabo. Dzisiaj Sonję Henie atakuje zwarta gwardja łyżwiarek angielskich, spośród których najlepiej przedstawia się Cecylja Colledge. Niektórzy już dzisiaj twierdzą, że Angielka lepszą jest od Sonji Henie. Jak narazie Sonja góruje swoją rutyną i doświadczeniem, ale już jutro może ją spotkać zwykły los mistrzyń świata; zostanie pokonana przez młodszą od siebie zawodniczkę.

Wśród panów nie zanosi się na tak szybką zmianę na tronie mistrza świata. Wiedeńczyk Karol Schäfer zdobył ten tytuł po długiej walce z Szwedem Grafströmem i dziś, choć wspominają inni o klasie Kaspara czy Sharpa lub Baiera, Schäfer jest spokojny. Ma jeszcze przed sobą długi okres panowania.

Natomiast otwartą jest sprawa w jeździe parami, gdzie do tytułu najlepszej pary świata kompetują trzy pary Francuzi Jolly i Brunet, Węgrzy Rotter i Szollas oraz Niemcy Herber i Baier. Która z nich jest najlepszą — dowiemy się za kilka dni na zawodach w Garmisch-Partenkirchen. W każdym razie do trójki tej nie przybędzie prawdopodobnie żadna inna para, gdyż pozostali konkurenci, jak to wykazały ostatnio rozegrane w Berlinie mistrzostwa Europy, są dużo słabsi od powyższych trzech par, z pośród których para Herber i Baier dzierży tytuł mistrzów Europy.

Jedno jest pewnem a mianowicie, że w zawodach w jeździe figurowej na lodzie decyduje młodość i wdzięk. Nawet najbardziej rutynowany łyżwiarz, o ile dźwiga na barkach parę dziesiątków lat, nie sprosta kilkunastoletnim dzieciom. I może dlatego ten dział sportu jest tak piękny, że wiąże się nieodłącznie z młodością.

W. D.

Mistrzyni świata, Sonia Henie, jako „Umierający Łabędź".

Poniżej od lewej: Wiedenka Reisinger na torze zakopiańskim. — Japonka Yetsuko Inada. — Nieżyjąca już Hilda Holovsky, niedawno najgroźniejsza rywalka Soni Henie. — Cecylja Colledge wicemistrzyni Europy. — Genet Butler.

Poniżej: Wiedenka Fryda Hwel i Kurt Heidinger na torze zakopiańskim.

Na prawo: Wicemistrzyni Niemiec, Maxie Herber



wycieczka po słońce

wycieczka po słońce



Funchal, stolica Madery — cel „wycieczki po słońce".



Czy jechał już ktoś z was okrętem *„w nieznane"?* Może tak, a może raczej nie, bo taka podróż kosztuje masę pieniędzy, które pochłania nietylko bilet okrętowy, ale i owe skomplikowane przygotowania, napełniające luksusowe walizy stosem przeróżnych rekwizytów podróżnych. Gdy jednak warunki ułożą się na tyle pomyślnie, że stać nas w danej chwili na odbycie owej wymarzonej w porze zimowej „wycieczki po słońce", zagłębiamy się z radością w lekturze świetnie opracowanych prospektów kilku największych europejskich firm okrętowych, z których szczególnie angielskie i niemieckie celują w urządzaniu takich właśnie morskich podróży *„w nieznane"*.

Zwykle sam kierunek jazdy bywa z góry oznaczony. Podróżni nie wiedzą tylko do ostatniej chwili, gdzie ich uprzejmy kapitan statku wysadzi na ląd; czy na jakiejś wyspie, zabłąkanej na bezmiarze błękitnych wód, czy na roześmianym promieniami gorącego słońca brzegu któregoś z południowych kontynentów. I to właśnie stanowi ową największą może siłę atrakcyjną dla zblazowanych *nouveaux-riches'ów,* których nie cieszy już żadna, nawet najciekawsza zmiana otoczenia, ani nie pociąga niebywały luksus życia na takim parowcu wycieczkowym.

Jakże wygląda to życie? Już pierwsze kroki na pomoście, po którym w chwili odjazdu statku płynie jeszcze końcowa fala spóźnionych pasażerów, upewniają nas, że otoczenie, w jakiem przebywać będziemy przez tych 21 dni, składa się z ludzi, przyzwyczajonych do brania z życia tylko tego wszystkiego, co sprawia największą radość i przyjemność. Uśmiechnięty steward — typowa *„Mädchen für alles"*, prowadzi nas do kabiny, niczem nie różniącej się na pierwszy rzut oka od wnętrza luksusowego apartamentu w najwytworniejszych hotelach świata. Ściany, obite brokatem, perskie dywany, zaściełające miękką płaszczyzną całą posadzkę kabiny, meble, wykonane ze szlachetnego drzewa, kryształy wypełnione najbardziej wyszukanemi kwiatami, wszystko to składa się na całość, harmonizującą z czteroliczbową cyfrą ceny biletu okrętowego. Już sam ten widok jest pierwszem dla nas ostrzeżeniem, że życie na takim statku niewiele różnić się będzie od tego, które pulsuje w kołach międzynarodowego high-life'u.





...w tej kabinie będzie najwygodniej...



High-life przy pokładowym „curlingu".



Popołudniowa sjesta.

I rzeczywiście. Pierwsze spojrzenie po wyjściu z kabiny na górny pokład daje nam możność podziwiania „nieróbstwa" rozleniwionej society. Mężczyźni w nienagannie skrojonych dresach sportowych, w których przeważa kombinacja jasnej, fishgretowej marynarki, zwykle z szewiotu lub homesspunu uszytej, z długiemi spodniami z ciemnej flaneli obstawili szczelnie tor pokładowego „curlingu", na którym toczy się właśnie walka pomiędzy jakimś wytwornym starszym gentlemanem o rysach twarzy wybitnie anglosaskich, a młodzieńcem o wyglądzie urodzonego Yankesa. Kobiety w krótkich angielskich kostjumach z niemniejszem zainteresowaniem śledzą przebieg gry. Tu i tam toczy się dyskusja we wszystkich językach europejskich; przeważa jednak angielski i francuski. Po chwili wzrok nasz biegnie wgórę, gdzie poprzez szklany dach widoczny jest błękit nieba, a na niem roześmiana twarz słońca. Tam, poza kryształową osłoną hula mroźny wiatr Północy, który po obu bokach płynącego statku piętrzy niebotyczne fale. Ale my płyniemy równo i spokojnie. Tylko nieznaczne, powolne wahanie statku uprzytamnia podróżnym, że szlak nasz wiedzie przez ocean.

Schodzimy teraz na dolny pokład, gdzie w środku mieści się obszerna pływalnia. W basenie, wyłożonym błękitną kaflą, kołysze się zieleń ogrzanej wody morskiej, a na jej



Jak dobrze pójdzie, będzie można na Maderze zamienić filc na korek lub słomkę...

z lekka zmarszczonej powierzchni igrają okrętowe najady. Jakaś wysmukła jasnowłosa Szwedka rzuca się właśnie w efektownym skoku z trampoliny, a jej prawdziwy wyczyn sportowy zostaje nagrodzony oklaskami rozłożonej na brzegach basenu młodzieży. Przeważają typy urodziwych synów Albionu, których efektowne, różnokolorowe płaszcze tworzą malownicze plamy na tle bieli kaflowych ścian.

Zbliża się pora lunchu. W ogromnej, z niebywałym przepychem urządzonej jadalni zbiera się powoli towarzystwo. Niektóre stoliki stoją jeszcze długi czas puste. Zawsze się bowiem zdarzy, że kogoś zatrzymają w barze przy południowych cocktailach, lub opóźniająca się rozgrywka brydżowa uwięzi jakąś czwórkę w smocking-roomie. Wkońcu i emocjonująca partja curlingu może stać się poważną przeszkodą w punktualnem rozpoczęciu lunchu. Na podwyższeniu w rogu sali popisuje się doskonały jazz. Jakiś nagły nieoczekiwany break krzykliwej trąbki ułatwia niejednemu nowicjuszowi połknięcie pierwszej w życiu ostrygi. Inni rozkoszują się daniami świetnie zestawionego menû, w którem nie brak najbardziej wyszukanych potraw.



Nocą na krytym pokładzie parowca.



Urządzona z wielkim przepychem sala jadalna przypomina pałacowe wnętrza...

Oto jak powinien wyglądać strój balowy podczas takiej wycieczki... →

Obszerny basen na pokładzie umożliwia pasażerom uprawianie podczas podróży sportu pływackiego. ←



Pasażerowie na „oślej" wycieczce przez Maderę. ↓



Już po kilku kwadransach wszyscy niemal, jak jeden mąż, wędrują znowu na pokład, gdzie czekają wygodne leżaki. Tam też podają stewardzi kawę i najrozmaitsze smakołyki. Z zapadającym mrokiem zaczyna funkcjonować kino okrętowe. Dopiero dźwięk gongu, który zaprasza na dinner, staje się hasłem do zmiany strojów. Od tej chwili na wszystkich pokładach obowiązuje smocking i suknia wieczorowa. W czasie bali i maskarad, które niemal co noc zapełniają salony statku rozbawionym tłumem podróżnych, odbywają się przedstawienia rewjowe, na których występują słynne gwiazdy i popisuje się zwykle jakiś renomowany balet. Osobną grupę imprez artystycznych stanowią koncerty solistów, licznie odwiedzane przez melomanów klasycznej muzyki.

Na długo pozostaje nam w pamięci chwila, w której statek mija granicę zimy i wiecznej wiosny. Wtedy na wszystkich pokładach szaleje istna orgja wesołości. I nie dziwimy się tym wybuchom radości, bo przecież wszyscy, jak tu jesteśmy, jedziemy „w nieznane" po... słońce. Pod wpływem jego ożywczych promieni roztwiera się na górnym pokładzie dach szklany, niczem olbrzymi kielich kwiatu. Płuca nasze wdechują balsamiczny powiew morza, którego spokojna teraz fala leniwie uderza o burty statku.

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zmienia się też gruntownie wygląd pasażerów. Płaszcze, kurtki, szale, pullowery, jednem słowem całe bogactwo zimowych dressów znika w czeluściach kabin na długie dni gorącego słońca. W męskich ubraniach przeważa teraz biała flanela, surowy jedwab, lub najcięższe freska. U kobiet znowu barwne wzorzyste fulary, crepe de chine'y, georgette'y, a jeśli chodzi o sportowe suknie, to różne płótna, a nawet surowy jedwab. Zaludnia się kort tenisowy, na którym nierzadko grają prawdziwi mistrze białego sportu. Funkcjonuje też otwarty basen.

Zwykle w momencie, gdy statek wpływa na południowe wody, rozpoczyna się gra, polegająca na odgadnięciu miejsca lądowania. Wówczas niejeden zawołany hazardzista śledzi na mapie dotychczasową drogę okrętu, przyjmuje prawdopodobieństwo pewnego kierunku i stawia ustalone poprzednio kwoty np. na port na Maderze, drugi na Wyspy Kanaryjskie, trzeci znowu na Zielony Przylądek, czwarty na Ascension itd. Każdy otrzymuje swoją chorągiewkę, którą wpina na mapie w upatrzone miejsce. Przegrana idzie do kas okrętowych. Ale największą przyjemność sprawia nam dopiero chwila, gdy okręt zarzuca kotwicę, a kapitan statku w otoczeniu oficerów, ubranych w galowe mundury obwieszcza zebranym nazwę upatrzonej poprzednio miejscowości. Zwykle uroczystość ta odbywa się w nocy, gdy rozbawione towarzystwo zapomina o możliwości rychłego lądowania. I dopiero nagle, jak *deus ex machina* zjawia się ląd przed nami. Zdala widoczne są światełka jakiegoś miasta. To Funchal na Maderze, którą już jutro zwiedzimy na rączych osiołkach. Tymczasem jednak zabawa, na moment przerwana, wre w najlepsze dalej. Korowód białych, tropikalnych smockingów, wśród których niczem jakieś egzotyczne kwiaty widnieją barwne toalety pań, przewija się pod płonącym stropem różnokolorowych lampionów. Na górnym pokładzie bucha w czerń nocy istna orgja ogni bengalskich, które mieszkańcom atlantyckiej wyspy oznajmiają uroczyście przyjazd „wycieczki po słońce". **RODNEY.**

JAN SZTAUDYNGER

ARTYSTA Z NIEMIEC, CZY ANTEK Z WARSZAWY?

Jedną z pierwszorzędnych atrakcyj Warszawy jest warszawskie Zoo. Pomyślane z dużym rozmachem, nie żałujące przestrzeni, obliczone na dalszą metę, jest obok starego miasta tym magnesem, który działa z nieodpartą siłą przyciągania.

I tym razem nie udało mi się obronić przed nim. Uległem nieprzezwyciężonej pokusie, aby odwiedzić rzesze skrzydlate i kopytkowe...

Ale jadąc do Zoo, zajechałem gdzieindziej, bo zwróciłem uwagę na rzecz inną, na „Sto Pociech". Jest to jak wiadomo ogród przeznaczony ku uciesze dzieci i gawiedzi; jakgdyby ćwierć wiedeńskiego Prateru. Przyszło mi do głowy, czy nie znajdę tutaj marjonetek. Pamiętam z lat dziecinnych takie właśnie marjonetki i im to zawdzięczam zamiłowanie do teatru lalek.

Szczęśliwym trafem zapytałem o te marjonetki syna dyrektora „stopociechowego cyrku".

— Tu niema marjonetek, ale mój ojciec kiedyś zajmował się marjonetkami.

— Może pan będzie łaskaw zapoznać nas z ojcem.

Z cyrkowej budy gramoli się po chwili pan o minie aktorskiej, dokładnie ogolony, o okrągłej twarzy i postaci, spoziera na nas z ciekawością i pyta o co nam chodzi? Wyjaśniamy mu naszą wizytę.

Wywołuje to natychmiastowy i dodatni skutek. Niema marjonetkarza, któryby nie mówił o swoich lalkach.

Życie naszego rozmówcy to prawdziwa odysseja. Od najmłodszych lat wędrówka po Polsce i Rosji, najpierw z szopką, potem z marjonetkami, wreszcie z kinem objazdowem i cyrkiem.

Zaczęło się w chwili, gdy miał lat 18 (w tej chwili ma ich 64). Synowie już mają jeden 43 lat, drugi 23. W Rosji bawił 36 lat. Rodzina mieszka w Pleszewie, w Poznańskiem. Przed wojną w Rosji dorobił się. były całe garnki złota. Chciał osiąść na roli. Ale bywało też różnie, nosił bibułę.

— Pan wie, co to bibuła?

— Wiem, naturalnie.

— Czy można wiedzieć pańskie nazwisko?

— Muszyński Wawrzyniec. A pan, skąd? — zwraca się z pytaniem do mnie.

— Z Poznania.

— Ach, byłem w Poznaniu i w Bydgoszczy. Na Wesołem Miasteczku, w Luna Parku, koło Bramy Dębińskiej. Miałem kucyki. Moje lalki mi się nie opłacały. Zostały w Poznaniu, gdzieś koło Dębińskiej Bramy. Poruszane były zapomocą nitek i widelców.

— Co pan grywał w swoim teatrzyku?

— Dawniej śpiewało się po rusku. Publika była chacholska. Dawałem (liczy w pamięci) jakieś dziesięć scenek. Lalek było 46, przedstawienie trwało dwie godziny. Były śpiewy, tańce. Występował Twardowski, Węgier, Polak, Krakowskie wesele, Jojne i żydek Icek, Myśliwi...

Tu już „zatyka" mego rozmówcę i nie może sobie przypomnieć nic więcej.

— Nad przygotowaniem mego teatrzyku pracowałem przez trzy miesiące. Rzeźbiłem sam, malował malarz Ćwikliński Józef. Ale wpadliśmy! U nas ma powodzenie z Niemiec artysta, ale nie swój Antek. z Warszawy!

Tu wtrąca się syn:

— Proszę pana, miał tata także marjonetki na palcach, to w Rosji nazywało się „Iluszka-pietruszka". To była poprostu chusteczka na palcach.

I rozmawiamy przez chwilę o tej „Iluszce Pietruszce".

Sprowadzam rozmowę znów na tory... marjonetkowe:

— A jak wielkie były pańskie lalki?

— Mogły mieć tak ze ćwierć metra wielkości.

— A kiedy miał pan ten teatrzyk?

— O, to było przed wojną: w jakimś roku 1905.

— A gdzie pan z nim był?

— W Petersburgu, Moskwie, Odessie, w Islandji, w Rydze i Rewlu. Jeździłem po Rosji, bo tu z Warszawy uchodziłem przed aresztowaniem. Ostrzegł ruski łapownik, że na mnie już przyszła kryska. To przez tę bibułę.

— A jak pan wpadł na pomysł zrobienia teatrzyku marjonetkowego?

— Nauczyłem się tego u Włochów stoccatorów. Podpatrzyłem tam ich gadające głowy.

— Słyszałem, że pan poprzednio, nim się pan wziął do marjonetek interesował się szopką?

— Tak, ja zawsze lubiłem mechanikować. Żona, jako „dziecię Marji" grała w jasełkach, więc umiała tekst i wiedziała, jak to się robi, ja zmontowałem przedstawienie, lalki poruszałem zdołu zapomocą cieniutkich drucików, przez szparki. Były wspaniałe lustra i rurki z benzyną, z tą szopką chodziliśmy po Warszawie.

— Czy oprócz pańskiej szopki chodziły jeszcze jakieś inne?

— O tak, w okresie od Bożego Narodzenia do Trzech Króli uwijało się po Warszawie mnóstwo szopek. Jakieś kilkanaście.

— Od szopki przeszedł pan zatem do marjonetek a od marjonetek do kina?

— Tak jest, miałem dwa kina w Warszawie, jedno na Pradze.

Widząc, że rozmowa się przeciąga i że poprostu nie wypada kończyć jej tak „na sucho", proponuję naszemu miłemu rozmówcy, abyśmy poszli do stopociechowej restauracyjki, aby się napić piwa.

Pan Kazimierz Ginwiłł Piotrowski, który wybrał się ze mną do Zoo, a teraz (wpierw niechętnie a potem coraz chętniej), asystował przy marjonetkowym wywiadzie, zaczyna pociągać młodego staruszka za język i wydobywa z niego dzieje jego przepysznego powrotu do kraju. Okazuje się, że buda cyrkowa, gdy powstała bolszewja, spełniła rolę arki i przytuliła dwu Polaków, jednego obywatela ziemskiego i jednego komisarza policji. Groziło im rostrzelanie, wpakowani między cyrkowe rekwizyta (cyrk jak wiadomo jest ostatniem zainteresowaniem i interesem życiowym pana Muszyńskiego), odbyli wielodniową wycieczkę do kraju. — Przygody, jakie ich spotkały po drodze można by zużytkować w jakiejś noweli, najciekawsze zaś jest zakończenie. I uratowany ziemianin i uratowany komisarz policji zniknęli z oczu Muszyńskiego.

Po latach znalazł się p. Muszyński w tarapatach biurokratycznych, wybiera się do danego biura i zastaje tam przy biurku... swego ziemianina w roli dygnitarza, od którego wszystko zależy. Lecz dygnitarz nie przypomniał sobie Muszyńskiego! Innym razem w czasie tournée po Polsce zajeżdża Muszyński z cyrkiem do kresowego miasteczka. Ledwo wszedł do piwiarni, a tu słyszy, że policja o niego pyta.

Zmartwił się nieborak (bo to i z powodu tej bibuły od Rosjan miał z policją nieprzyjemności a i ostatnio w Polsce siedział razem z Drobnerem). Więc skrobie się w głowę i czeka nieszczęścia, aż tu wchodzi istotnie do piwiarni policja. Muszyński trochę nieswój (kto z nas lub mieć do czynienia z policją?), aż tu pan komisarz za szyję go bierze i z całej siły ściska! Jak się nietrudno domyślić, był to ów pan przemycony z cyrkiem. Piwa zabrakło w piwiarni, kto żyw musiał pić za zdrowie salwatora. Wódka tryskała, jak w Panu Tadeuszu a nazajutrz na przedstawieniu cyrkowem był sam pan starosta i... całe miasto!

Tak rozpowiadał nam pan Muszyński, przeskakując od cyrku do kina, od kina do marjonetek a od marjonetek do szopki. Słysząc o renesansie marjonetkowym wyrażał gotowość zmiany zawodu cyrkowca na marjonetkarza. A we mnie zrodziła się chęć namówienia odpowiednich czynników, aby dopomogły p. Muszyńskiemu do założenia teatrzyku marjonetek w „Stu pociechach". Niechże stary „bibularz" poniecha męczenia tresowanych piesków (co obecnie czyni w swoim cyrku), a zabierze się do rozśmieszania dzieci a choć twierdzi, że w Polsce może mieć tylko powodzenie Niemiec a nie Antek z Warszawy, może się jednak myli.

Idzie epoka marjonetki. Hitler sprzymierza się z marjonetką. Bolszewicy zdobywają nią w tej chwili Paryż, Czesi raczą niemi swoje dzieci i zdobywają sobie podziw całej Europy. Tylko w Polsce idzie to ślimaczym chodem, prócz nieśmiałych wysiłków na prowincji, jeden „Baj" warszawski z Żoliborza ratuje honor Polski. Ale da Bóg, że wkrótce to się zmieni.

Jan Sztaudynger.

PORTRET PIĘKNEJ PANI.
Studjum fotograficzne Janiny Schabenbeck-Mroszczakowej (Katowice). →



Z teki muzycznej „Asa“

Zamieszczona w niniejszym numerze piosenka p. t. „As“ jest kompozycją młodziutkiego, bo zaledwie 14-letniego chłopca, Janka Groborza, zamieszkałego w Rybniku na G. Śląsku, który napisał również udany tekst. Muzykalni Czytelnicy naszego Magazynu najlepiej sami ocenią talent tego najmłodszego uczestnika rubryki muzycznej „Asa“.

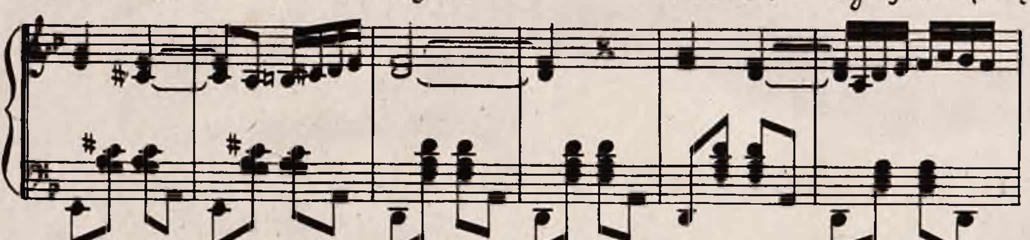
»AS«

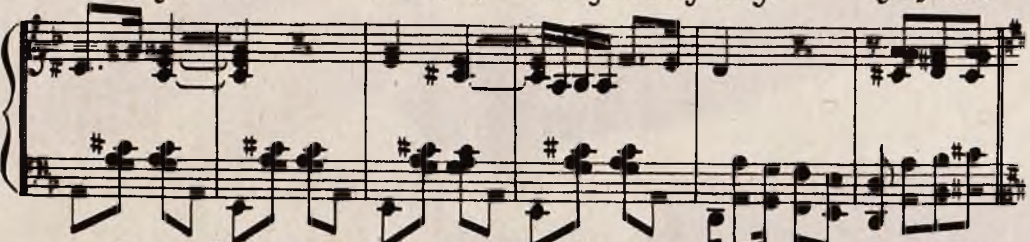
Tango.

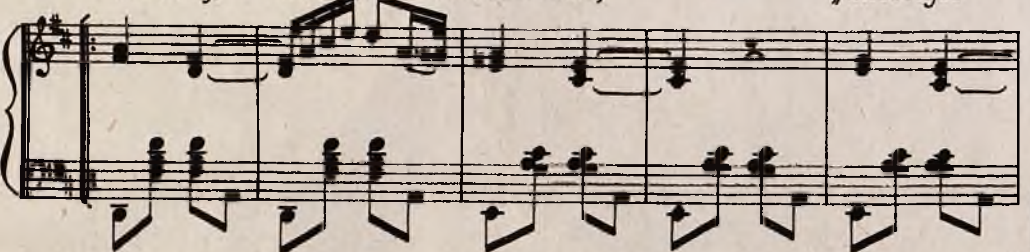


Słowa i muzyka Janka Groborza.









i różne ty.go..dni........ki, „As" też wychodzi czę.sto

spod pras, By być każdy tydzień wśród nas. Kup so.bie

„A..sa" za czterdzieści gro.szy, A „As" da To..bie ty.się.ce roz.

.ko......szy; I „As" da radość w ży.ciu sza..rem,

Niech „As" jest przyjacielem Twym! 1º Jest „Pa.tac" 2º

Dzieci szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

24-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA

Tu, w tych komisarjatach policji, jako młodziutki, palący się do dziennikarstwa reporter, czerpał treść do pierwszych swych skryptów... Tu, w tej kawiarence na rogu, naprzeciw tego posterunku policji, czekał w otoczeniu kolegów z innych pism, na szczegóły pierwszego przesłuchania pojmanego przed chwilą bohatera głośnej, krwawej tragedji... Aby zabić nudę oczekiwania, wziął wtedy po raz pierwszy karty do ręki... I z tych lepkich, zatłuszczonych kart szynkowych, wyjrzało doń po raz pierwszy i opętało go raz na zawsze uśmiechem zdradnych ust tajemnicze oblicze Pikowej Damy... Po raz pierwszy poczuł tu palącą, rozkoszną gorączkę ryzyka, hazardu... I ta radość, to szczęście, to upojenie, kiedy pozwolono mu po raz pierwszy podpisać imieniem i nazwiskiem mały artykulik w rubryce „Z Dnia"! Upił się wtedy z kolegami na umór — przepił całomiesięczną pensję!

„O Boże! — Ileż zapału było wtedy we mnie! — Jaki pęd do życia i wiara w przyszłość! — pomyślał ze smutkiem. — A dziś?... Nie jestem już taki młodzieńki... dwadzieścia pięć lat i zdołałem już wszystko zburzyć za sobą — przed sobą..."

Potem przyszły wspomnienia świeższej daty: bijatyka z szoferami — Helma Hervezy — Plessoye (zgrzytnął zębami na to imię!)... I na cóż zdał mu się najświetniejszy wyczyn dziennikarskiego zawodu?

„Gdybym tak nie był miał nerwów tuż pod skórą, tego dnia... Bo pomyśleć: pierwsze zetknięcie z Ivanem, po uprowadzeniu Roberty z Casa — pustka w kieszeni i paniczny strach: za chwilę trzeba zapłacić rachunek za obiad... Gdyby nie ta awantura z szoferami... Gdyby... Może nie byłbym się ważył na to...

„Nie, co się z tobą dzieje, Le Droz! — skarcił się ze złością. — Te retrospektywne, idjotyczne spekulacje na temat: „gdyby" — „może"! — Otóż właśnie, że nawet w innych okolicznościach i wiedząc naprzód, co z tego wyniknie dla mnie, byłbym absolutnie postąpił tak samo! — A Ivan? Czyż Ivan nie zaprzepaścił całej karjery przez to, że stanął w obronie tego murzyna? — A Ramon? — Czyż prawdę mówiąc, miał rozumny powód, by dobrowolnie skazywać się na wygnanie? — Każden z nas grał dotąd przeciw sobie samemu, w tej partji, którą rozgrywamy z życiem.

„Ale nie, to nieprawda! Bo to nie byłoby ani piękne, ani słuszne. Graliśmy, nie przeciw sobie samym — ale przeciw praktycznym wartościom życia! Odrzuciliśmy precz te troski, te obsesje dręczące resztę ludzkiego stada. Pozostaliśmy właśnie wierni sobie samym — i nie odbiegliśmy od reguł naszej gry. Wszystko, co zrobiliśmy, było dobre i słuszne. I ta historja z Plessoye — i awantura z Grahamem — i ucieczka Roberty — i decyzja Ramona! I odrzucenie tej propozycji agitowania przy wyborach w Oranie, tak samo! — Nie mamy prawa żałować niczego. — Gdybyśmy się byli porodzili przewidujący, ostrożni, oszczędni,. ulegli — krótko mówiąc, wstrętni! — a to co innego! — Ale gdyby Ramon Roberta i Vivant nie posiadali tej cudownej beztroski, tej pogodnej swobody, czyż byliby zdolni krzesić tę radość i to serdeczne ciepło wszędzie, kędy przechodzą? — Szczęście nasze, jest właśnie dzieckiem tego, co ludzie nazywają naszem „szaleństwem"!

Doszedłszy do tego punktu swego rachunku sumienia, Le Droz odetchnął z dumą. —

„Nasze szaleństwa — nasze wybryki są nam właśnie puklerzem i uświęceniem. — Tak było już, widać, postanowione i zważone na szalach losu, skoro u samych bram śmierci spadło nam nagle ocalenie z nieba"...

Co powiedziawszy sobie wysiadł i dumnym krokiem skierował się do Morgi. Lecz kiedy z niej wychodził, pycha jego opadła.

„W takim razie, dlaczegoż rzeczy zaszły aż tak daleko, że dziś szukam Ramona w tej okropnej lodowni...? — z pokorą postawił sobie pytanie. — Skądże to zmęczenie u mnie? — To wyczerpanie u Roberty? — Przecież nie uczyniliśmy niczego, coby obniżało naszą wartość, albo godność naszą?"

I dręczące myśli nie odstępowały go już do końca tej krzyżowej drogi, po ponurych zaułkach, dokąd fale wielkomiejskich mętów wyrzucają swe ofiary. Lecz nigdzie nie dowiedział się niczego o Ramonie. Zatelefonował o tem do Roberty i automatycznie skierował się na Montmartre.

Wszystko tam wydało mu się dziś nudne, mdłe i sztuczne... Wcześniej, niż zazwyczaj pożegnał dnia tego nocne lokale i bary. I czy to przez słabość — czy bał się samotności w domu — czy może zapragnął lepiej jeszcze dostroić tę noc do pustki, jaką nosił w sobie — rzucił się z zamkniętemi oczyma w najbezdenniejszą, w najniższą rozpustę...

Kiedy na trzeci dzień rano znalazł się wreszcie u siebie, w mieszkaniu pani Mettenat, był tak bezdennie znużony ciężarem swego własnego „ja" — tak obrzydzony do siebie i do wszystkiego — że poczuł się dojrzały do upicia się dziko i na umór — albo do spróbowania narkotyków, do których żywił dotąd instynktowny wstręt. Kokaina, opium — cokolwiek! — byle uciec od siebie — zapomnieć...

Na dobitek jeszcze nadszedł Vivant. Miał rozciętą wargę (skutki bijatyki z pięcioma Argentyńczykami) — i oznajmił mu, iż ma zamiar sprzedać swój samolot, żeby ratować raz jeszcze „Huśtawkę" Miszy, której znowu groziło bankructwo.

To też, nawet kilka słów, które odebrał od Plessoye, a w których były minister prosił go, by tegoż dnia, wieczorem stawił się u niego, na wzgórzu Świętej Genowefy, nie zdołały zdjąć z Le Droza tego płaszcza udręczeń, który ugniatał mu ciężko ramiona i mózg.

* * *

— Niech pan nie siada na tem krześle — proszę tu, w moim fotelu. — Nie, nie — proszę się nie troszczyć o mnie. Lubię stać tu, pod ścianą — przy moich książkach... Proszę, tu są papierosy (on sam pociągał z fajki na długim cybuszku). — Mamy sporo do pomówienia ze sobą. Czy ma pan czas?

— Nie mam nic do roboty, panie ministrze...

— Proszę pana o jedno, Le Droz — żadnych tytułów, żadnej etykiety... Na razie, odsuniemy na bok wszystko. co nie należy istotnie do rzeczy — zgoda?

Z góry, ze staroświeckiego świecznika, łagodne światło lało się równo i spokojnie. Na kominku, drzewo tliło się na różowo i bezszelestnie, pod szarą koronkową warstwą popiołu. Ramy obrazów i grzbiety książek świeciły delikatnie, w półmroku, na ścianach. Poprzez okna widać było migocące w dali światła wielkiego miasta.

Le Droz, przychodząc tu, nie niósł ze sobą żadnego pragnienia, żadnej nadziei — nawet żadnej ciekawości. Teraz czuł, jak wnika weń nastrój

tego pokoju, w którym wszystko było tak pomyślane i tak ułożone, by wytworzyć atmosferę najkorzystniejszą dla umysłu — by podniecić jego czynność, chroniąc go zarazem przed zmęczeniem. Młody człowiek, z natury już swojej, miał reakcje błyskawiczne i silne. W tej chwili, klimat Plessoye — jego obecność sama — jego przyjacielskie, pełne wyczucia słowa, obudziły w nim na nowo sens i smak życia. Miał uczucie, że samym już tonem i zachowaniem swem, Plessoye wyrównał, w jakiś tajemniczy, a stanowczy sposób, wszystko między nimi — a więc: różnice wieku, stanowiska — przeszłość i prace, jakie obaj mieli za sobą — i wszystkie możliwości, które przyszłość niosła dla nich. I bez cienia zuchwałości, poprostu skinieniem głowy, odpowiedział potakująco na ostatnie słowa byłego ministra.

— Doskonale! — zaczął znów Plessoye. — Myślałem dużo o panu — i o pańskich przyjaciołach. Myślałem tak. od — no, powiedzmy — od tygodnia... Śledziłem was. Nie było to trudnem, bo nie kryjecie się z niczem. Pozatem mam do dyspozycji pewne sposoby zbierania informacyj... Jednem słowem znam dobrze wasz sposób życia...

Le Droz słuchał, sparłszy swą silną brodę na złożonych dłoniach. Nie poruszył się; lecz — stężały już wewnętrznie, pod wpływem słów, które słyszał — zapytał podejrzliwie:

— Co pan przez to rozumie?

— Wszystko: dnie przespane — noce spędzane po barach — karty — lenistwo — czas tracony marnie — pogarda dla pieniądza...

Le Drozdowi przyszło teraz na myśl, że Roberta musiała wysłuchać takiego samego kazania... Czy też przypadkiem Plessoye nie ma zamiaru dokonać ich nawrócenia, dla jakichś sekretnych, jemu tylko znanych zamysłów i celów? I żeby łatwiej dopiąć tego, zabiera się do każdego z nich z osobna... Już, już miał rzucić jakiemś bezczelnem powiedzonkiem, na temat nikłości wszelkich nauk moralnych i kazań, kiedy oczy jego napotkały nagle oczy Plessoye — i odkryły w nich coś, co powstrzymało go.

W tem prześwietlonem i zniewalającem ludzi spojrzeniu, właściwem oczom byłego ministra, było coś nowego, czego nie widział w nich nigdy. Jakaś trwoga, hamowana — jakiś ból, trzymany na wodzy, mącił zwykłą ich stanowczość, przyćmiewał promienie, które nieciły w sobie. Tak samo ta twarz przed nim... Wydała mu się nagle miękka, zasnuta jakby ciepłą życzliwością — dobrocią, o którą nie byłby nigdy podejrzewał Plssoye. Tego niesamowitego, oderwanego od życia wieczoru, wszystko w byłym ministrze nakazywało prostotę i bezbrzeżną szczerość.

— Może nas pan źle rozumie — zaczął półgłosem. — Przyznaję, że dla patrzącego z boku, ta werwa, to szalone podniecenie — te bijatyki, te warjackie kawały — jednem słowem ta cała bigofonja — jak, nie wiem dlaczego, nazwał to wszsytko Ivan — muszą się wydawać głupie, puste i poniżające.

W miarę, jak mówił, Le Droz ożywiał się. Liryzm, który, mimo wszystko, tkwił w nim i ustawicznie podsycał jego żywotność, wybuchnął nagle:

— Ale my — my którzy żyjemy w tym piecu ognistym — my jesteśmy goretsi, silniejsi i dzielniejsi od reszty ludzi. My potrafimy zamienić dla siebie świat na taki, jakim go mieć chcemy. — Dla nas, przestaje on być tą nędzną i nudną kasarnią, a staje się wolną, szeroką przestrzenią, na której kołyszą się białe żagle cudownej przygody i kędy wśród szczątków rozbitych okrętów, d u m n i e prują fale zwycięskie eskadry! — Nie wiemy nigdy zgóry gdzie zastanie nas świt: od Pampasów po Lusianę — od śnieżystych stepów poduralskich po kwieciste brzegi Hawajskich archipelagów niesie nas muzyka, na czarownych falach swych melodyj i rytmów! — Stracony czas, mówi pan? — O, jakże się pan myli! To właśnie zyskany czas! Czas wygrany — wydarty z nędznej, nudnej osnowy dnia powszedniego! — Wyrwany tysiącznym nędznym troskom i kłopotom normalnego życia, którego nie chcemy, który odrzuciliśmy przecz od siebie! — Czyż naszą jest winą, że epoka, w której żyjemy, niezdolna jest dać nam strawy na naszą miarę? Stwarzamy ją sobie więc sami — i przeżywamy, tam, na górze...



Mamy sporo do pomówienia ze sobą.

Plessoye pociągnął kilka dymów z fajki i zapytał z wielką prostotą:

— „Na górze" — czy to znaczy: na Montmartrze?

Le Droz zawstydził się swego zapału, swej wymowy. A ponieważ, nawet sam przed sobą, nie chciał przyznać się do tego, gotował się znowu bryznąć czemś ciętem i gorzkiem. Lecz Plessoye nie pozwolił mu i rzekł cicho:

— Ale mój drogi — to wszystko nie rozwiązuje ostatecznie kwestji...

Przeszedł się po wydeptanej dróżce na podłodze wzdłuż gabinetu i powrócił na swoje miejsce, pod książkami:

— Niech mi pan wierzy, że nie sami jesteście w tem położeniu. Wiele jest ludzi — szczególnie ludzi młodych — którzy duszą się w tem codziennem, zmechanizowanem życiu dzisiejszem — którzy czują, że zatracają w niem zbawienie wewnętrzne. Instynktownie bronią się przeciwko niemu — każdy na swój sposób. Szarpią się, by zachować duszę — swobodę — ocalić żywotne soki — czy jak chce pan to nazwać. Tak samo czwórka wasza. Walczyliście dzielnie — aż do granic możliwości. Podziwiam was! I gdybym wierzył, że da się żyć tak w nieskończoność — nie byłbym pana dziś wzywał tutaj. Wszystko jest w porządku — dopóki jednostka wartościowa jest w zgodzie ze sobą samą i rzetelnie kroczy po prawdziwej swej drodze. Bo k t ó r ę d y ta droga prowadzi — to niema wielkiego znaczenia...

— Ależ pan myśli to samo, co ja! — zawołał zdumiony nad wszelkie pojęcie Le Droz.

Na wargach Plessoye — na tych wargach, które precyzyjnie notowały najlżejszy odcień uczucia, najprzelotniejsze nawet wrażenia — wykwitł teraz dziwny uśmiech. Składały się nań: odrobina ironji i pełne łagodnego smutku wyrozumienie.

— I to się panu wydaje nie do pojęcia — prawda? Nieledwie obraża to pana — co? Taki starszy pan — burżuj — oficjalny mąż stanu — i pozwala sobie być czasem tego samego zdania co pan — dzielić z nim te same pojęcia! — Założyłbym się, że przekonania pańskie wydają się już panu mniej drogie w tej chwili...

Le Droz zmarszczył swe potężne brwi. Nie lubił, kiedy czuł się odgadniętym...

— Jeżeli więc mamy rację, to dlaczegoż nie mamy żyć dalej tak, jak żyjemy? — zapytał szorstko.

— Bo działanie tych czarodziejskich napoi — tych cudownych, dających zapomnienie eliksirów jest ograniczone. Wietrzeją prędko — taki już ich los! Wysączyliście, co było w nich najlepszego... Trudno panu jeszcze uwierzyć w to dzisiaj. Ale poczekajcie — niedługo już, a zobaczycie to sami... Nie można na dłuższą metę karmić sztucznemi strawami, ani umysłu, ani serca. Dziś podobni jesteście jeszcze bogom — jesteście królami tych szalonych nocy. Hojną dłonią, nie licząc się, rzucacie im na żer treść waszą wewnętrzną. Młodością i świeżością waszą płacicie za fantasmagorje sztucznych szałów i upojeń — za łaskę zapomnienia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SPOJRZENIE PIĘKNYCH OCZU...
...Sari Maritzy, gwiazdy filmowej, która znowu świeci pełnym blaskiem. —▶



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA PIECZARKOWA. 4 dkg pieczarek oczyszczonych drobno pokrajać i udusić na łyżce masła wraz z małą cebulką podlewając rosołem. Następnie przetrzeć przez sito, podprawić łyżką mąki rozbitą w 1/8 l. śmietanki, zagotować i podać z grzaneczkami z chleba posypanemi parmezanem.

MAJONEZ GOTOWANY. Szybkim i łatwym sposobem sporządzić można majonez bez długiego i męczącego ucierania, w ten sposób: 3 żółtka i 2 łyżki stołowe wody, 2 łyżki soku cytrynowego albo dobrego octu, szczyptę soli i cukru ubija się na parze aż zacznie gęstnieć (zagotować się nie śmie, bo się zetnie), następnie ubija się dalej aż do zupełnego ostudzenia poczem dodaje się łyżkę oliwy, lub kto jej nie znosi, rozpuszczonego masła deserowego i łyżeczkę musztardy. Przez dodanie krajanych pikli, grzybków marynowanych, kaparów i t. p. sporządzamy sos tatarski. Również do zaprawy wszelkich sałatek nadaje się ten rodzaj majonezu.

ŚLEDŹ W SOSIE ŚMIETANOWYM. 2 oczyszczone i wymoczone śledzie mleczaki obiera się z ości i kraje w drobne kawałki. Mleczko uciera się z 3. dkg francuskiej i 3. dkg krymskiej musztardy, łyżeczkę octu i cukru oraz 1/8 l. kwaśnej śmietany na gładki sos, którym się polewa przygotowane poprzednio śledzie.

RAGONT Z MOSTKA CIELĘCEGO. 75 dkg cielęcej pieczeni z mostka, opiec na maśle z wszystkich stron, następnie pokrajać, włożyć napowrót do rondla, w którym nasmażono sporą pokrajaną drobno cebulę, dodać pół litra rosołu z kości cielęcych, 2 łyżki pasty pomidorowej i pół kg marchewki karolki, pokrajanej w kostkę. Wszystko razem dusi się pod pokrywą, a gdy prawie gotowe, zaprawia się solą, cukrem oraz odrobiną soku cytrynowego, dodaje kilka w małe kulki wykrojonych ziemniaczków oraz pół puszki zielonego groszku, dogotowuje i wydaje z krokietami wysmarzonemi z bułki.

KOTLETY CIELĘCE Z PIECZARKAMI. Ubite i urównane kotleciki posypuje się mąką i osmaża szybko z obu stron na maśle, podlewa rosołem, dodaje 10 dkg oczyszczonych i pokrajanych pieczarek i dusi razem pod pokrywą. Wkońcu zaprawia się solą i pieprzem, zaprusza mąką, podgotowuje i wydaje w rancie z ryżu lub puree z ziemniaczków.

BUDYŃ MIGDAŁOWY Z SZODONEM OWOCOWYM. 10 dkg masła utrzeć na pianę dodając po jednemu 5 żółtek i po trosze 10 dkg mączki cukrowej, sok i łupkę utartą z połówki cytryny, 7 dkg parzonych zmielonych migdałów, pianę ubitą z 5. białek i 5. łyżeczek zmielonego cwibaku. Masę nakłada się do formy budyniowej, natartej masłem i wysypanej grubym cukrem i gotuje na parze przez trzy kwadranse. Osobno podaje się do budyniu **szodon owocowy:** 3 żółtka uciera się z 8 dkg cukru, dodaje pół szklanki soku wyciśniętego z podgotowanych żurawin, kieliszek wina lub rumu i ubija na parze tak długo aż się zacznie podnosić. W braku surowego soku, można użyć soków smażonych lub konfitur, w takim razie nie dodaje się cukru, a sok rozrzedza wodą.

TORT POMARAŃCZOWY. 14 dkg cukru utrzeć z 4. żółtkami, dodać sok i skórkę utartą z 1. pomarańczy, 14 dkg mielonych parzonych i obranych z łupki migdałów, pianę z 4-ch białek, łyżeczkę tartej bułki. Upiec w słabym piecu na dzień przed użyciem. W następnym dniu przeciąć, napełnić kremem, oblać lukrem pomadkowym i ubrać cząstkami pomarańczy przeciągniętemi przez gęsty lukier. **Przepis na krem:** 12 dkg masła utrzeć na pianę z 1 żółtkiem i 8 dkg cukru z zapachem skórki pomarańczowej, wkońcu dodać sok z całej pomarańczy. **Polewę** sporządza się z 12 dkg mączki cukrowej, ucieranej z dolewanym po łyżeczce gorącym sokiem z pomarańczy. Uciera się tak długo, aż polewa stanie się gładka, przeźroczysta i połyskliwa.

JABŁKA W PIANCE. Nieduże jabłka ołupać, wydrążyć i ugotować w ocukrzonej wodzie, uważając, aby się nie rozpadły, poczem ustawia się je w ogniotrwałej salaterce, wkłada w wydrążenia po troszce masy migdałowej lub orzechowej, sporządzonej z migdałów, cukru i białka, na wierzch zaś łyżeczkę galaretki morelowej. Z 4.—5. białek ubija się tęgą pianę z dodatkiem 2.—3. łyżek cukru. Pianą tą pokrywa się kopiato jabłka, posypuje grubym cukrem, zmięszanym z siekanymi migdałami i zapieka szybko w gorącym piecyku.

JABŁKA „MURZYNKI". Ugotowane w cukrzonej wodzie ołupane i wydrążone jabłka, osącza się z wody, ustawia na półmisku, napełnia konfiturą lub marmoladą i oblewa gęstym sosem czekoladowym, sporządzonym z 5 dkg rozmiękczonej w cieple czekolady, 5 dkg cukru, ugotowanego z troszką wody na gęsty syrop. Czekoladę uciera się z dolewanym po trosze syropem i łyżeczką masła deserowego. Polewa się póki masa gorąca, bo łatwo sztywnieje.

KARNAWAŁOWA ZAKĄSKA DO PIWA. Kawałek kabanosa (cienka, twarda kiełbasa) parzy się gorącą wodą, wyciera do sucha czystą ściereczką, kraje w 5 centymetrowe kawałki, układa w miseczce, oblewa łyżką czystego spirytusu i podpala. Po wypaleniu się spirytusu wkłada się osmarzone kawałki kiełbasy pomiędzy dwa płatki chleba lub bułki. Cała procedura odbywa się przy stole, wywołując wesoły nastrój. Każdy gość obsługuje się sam.

Sc. Ko.

NOWOŚCI KUCHENNE.



Izolacyjna osłonka do czajnika umożliwia dłuższe przechowywanie gorącej esencji herbacianej, która w chłodniejszych ubikacjach stygnie za szybko.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat.	Tydzień 6 — **Luty** — Dni 29
Niedziela **2** NPM. Gromnicz.	Zupa z drobiu z grysikiem. Rizotto z grzybkami. Indyk lub indyczka pieczona z kompotem. Tort pomarańczowy. Kolacja: Zimny indyk z sosem tatarskim.
Poniedziałek **3** Błażeja bisk.	Rosół z płatkami z naleśnika. Sztuka mięsa z sosem musztardowym. Zrazy cielęce z pieczarkami i kaszką krakowską. Kompot z suszonych śliwek z pomarańczą. Kolacja: Parówki w pomidorach.
Wtorek **4** Weroniki p.	Barszcz na rosole z fasolką. Płatki z kapustą. Pieczeń na dziko z makaronem. Chrust /faworki/ z miodem. Kolacja: Spaghetti z szynką w sosie.
Środa **5** Agaty	Rosół z kury z smażonym grzybkiem. Omlety z szpinakiem. Kura z rosołu z puree ziemniaczanem. Marchewka duszona. Krem kawowy z kruchemi ciastkami. Kolacja: Omlety z szynką mieloną.
Czwartek **6** Doroty	Zupa ryżowa. Budyń z grzybów suszonych z sosem śmietanowym. Ragoût z mostka cielęcego z jarzynami. Sernik na kruchym placku. Kolacja: Kruszka cielęce osmażone.
Piątek **7** Romualda op.	Barszcz zabielany z twardemi jajami. Budyń bułkowy z serwetki z rumianem masłem. Karp pieczony z pommes frittes. Biszkopt z sosem waniljowym. Kolacja: Śledź w sosie śmietanowym.
Sobota **8** Jana z Malty	Rosół z francuskiemi kluskami. Hachée z mięsa rosołowego w rancie z ryżu z sosem pomidorowym. Pieczeń sarnia z brusznicowym kompotem. Kruche rożki z orzechami. Kolacja: Flaczki z parmezanem.

Życie
towarzyskie i artystyczne

Gwiazda polskiej operetki



Znana z wyjątkowej urody i prawdziwego talentu diva operetkowa, Janina Kulczycka, primadonna lwowskiej operetki, wystąpiła ostatnio w „Przygodzie w Grand Hotelu" Abrahama, odnosząc wielki sukces. Na całość udanego przedstawienia złożyła się staranna reżyserja i koncertowa gra aktorskiego zespołu.

Sukcesy Milskiego



Na scenie teatru Ziemi Pomorskiej pojawił się rasowy artysta, Stanisław Milski, który w krotochwili Wroczyńskiego „On i kinomanki", odniósł duży sukces. Na fotografji p. Milski, znany publiczności krakowskiej, lwowskiej, warszawskiej i łódzkiej z występów na deskach scenicznych.

Fot. M. Bil — Warszawa.

„Nagroda Młodych"



Młody, zdolny poeta, Światopełk Karpiński, którego wiersze odznaczają się subtelną i oryginalną formą, otrzymał ostatnio „Nagrodę Młodych" P. A. L.'u. Dotychczasowa twórczość Karpińskiego pozwala spodziewać się dalszego rozwoju jego nieprzeciętnego talentu.

Fot. „As".

Dziedziczka miljardów Vanderbildta



Największą sensacją w amerykańskim high-lifie był proces o miljardowy spadek po znanym krezusie Vanderbildcie. Prowadziła go imieniem 10-letniej Glorji Vanderbildt, jedynej prawej dziedziczki miljardowej fortuny, jej ciotka, która po szczęśliwym dla swej siostrzenicy wyroku objęła zarząd majątku i opiekę nad dzieckiem.

Mała Glorja stawia już pierwsze kroki w życiu towarzyskiem amerykańskiej „society" i ostatnio wzięła udział w konkursach hippicznych, wykazując świetne opanowanie konia i piękny styl w skokach. Widzimy ją na zdjęciu w chwili najeżdżania przeszkody.

Fot. Keystone — Berlin.

Anna May Wong pozuje...



Malarz amerykański, Tomasz Handforth wykonał w ciągu ostatnich tygodni szereg szkiców portretowych słynnej chińskiej gwiazdy filmowej, Anny May Wong, która ze względu na swą egzotyczną urodę jest niewątpliwie jednym z najciekawszych modeli dla malarzy. Szkice Handfortha zyskały też na aukcji w Nowym Jorku rekordowe powodzenie, no i co za tem idzie... rekordowe ceny.

Na zdjęciu widzimy Annę May Wong w stylizowanej na wzór chińskiego kimona sukni, w czasie pozowania Handforthowi do jednego ze szkiców.

Fot. Wide World — Londyn.

NA POŁUDNIU...

UŚMIECHY ZIMY

...I U NAS



Nareszcie biuletyny przyniosły upragnione wieści:

W Zakopanem, w Krynicy, w Rabce, w Szczawnicy, na całem Podkarpaciu — śnieg, biało, mroźnie, słonecznie. Powietrze jest ostre i cudowne, słońce zimowe opala na wspaniały bronz, gałęzie świerków uginają się pod ciężarem śniegowych czapic. I można odbyć cudowną wyprawę narciarską; można pojechać na przemiłą wycieczkę saniami; można zjeżdżać na saneczkach lub ślizgać się, — lekko sunąć po roześmianej słońcem tafli lodu.

I już niedługo, niedługo, kiedy niejedna z was — piękne panie — pojedzie na to białe, rozkoszne szaleństwo i na najchłodniejszy z flirtów — flirt ze śniegiem.

Należy więc zawczasu pomyśleć o rynsztunku zimowym. Zacznijmy od nart. — Sport narciarski zaczyna coraz bardziej u nas kwitnąć. Napewno pani widziała na pokazach mód różne cuda na ten temat. Ale cuda cudami, a kostjum musi być kostjumem, bo co innego jest przedefilować w salonie, a co innego ruszyć w góry i warjacko pędzić z wiatrem w zawody. Dlatego też do wszelkich „rewelacyjnych" kreacyj z tego zakresu należy odnosić się z rezerwą.

Czego wymagamy od takiego kostjumu? Wygody, praktyczności i elegancji. Dlatego musimy zwrócić uwagę na wszystko. Poczynając od kroju, a kończąc na drobiazgach. No cóż, zasadniczo wiemy, że kostjum składa się ze spodni i kurtki. A do tego nosi się jeszcze inne „inkszości". Tak. Ale jakie to



Oryginalne képi z pomponem.

Najlepsze narty i buty wymagają troskliwej pielęgnacji, o ile mają nam służyć wytrwale. A tak łatwo zapomina się o tem, gdy zmęczeni jazdą i wrażeniami, zrzucamy ciężkie, przemoczone buciska i z rozkoszą zmieniamy je na miękkie pantofelki. Wygoda ma w sobie coś z magicznej siły, skłaniającej najpracowitsze ręce do lenistwa. Buty, postawione w pośpiechu na zbyt gorącym piecu, wysychają szybko, kurczą się i tracą elastyczność, rękawice mają wyraźną skłonność do przypalania się, a narty niewytarte dokładnie ze śniegu i niezwiązane odpowiednio, tracą linję. Nic dziwnego, że potem końce desek tworzą przedziwne łuki, poczynające się zlekka niemal od połowy; buty nasiąkają łatwo wilgocią i cisną, nieprzyzwyczajone do ciężkiego obuwia stopy, a rękawice są krótkie, ciasne i nie ciepłe.

Aby uniknąć tych przykrych konsekwencyj chwilowego lenistwa, wystarczy pamiętać przedewszystkiem o tem, że buty, bez względu na to, czy są

Dokończenie na str. 31-ej.

W butach narciarskich modną jest obecnie kombinacja dwukolorowych juchtów, często z przybraniem ze skóry morsa.

wszystko ma być? Przedewszystkiem więc spodnie. Jeśli chodzi o krój, to tu mistrzowsko powinny być połączone dwie zalety — spodnie muszą być tak luźne, żeby nie tamowały ruchów, nie groziły pęknięciem, a zarazem powinny być zgrabne i nie pogrubiać. Oczywiście, że zamawiamy je z tkaniny impregnowanej. Być może, że ktoś będzie pani zalecał kupno spodni krótkich, spinanych pod kolanami, takich sportowych męskich. Niech jednak pani nie ulega namowie — to jest bardzo niewygodne, trzeba wtedy nosić wełniane pończochy, a te łatwo przemakają.

Do spodni odpowiednia kurtka. Tu modne są te bez kołnierzy, przybrane wyłogami, trochę zachodzące na biodra — fason żakietu jest wcięty, przez cały tył idzie podłużna fałda. Rękawy długie. Na piersiach i po bokach kieszenie, do tego pasek, spięty klamrą; na szyji jaskrawy szalik.

Jednym z najładniejszych kostjumów tegorocznych będzie czarno-biały strój narciarski, gdzie żakiet będzie biały, krótki, z koziej skóry, przybrany czarnym pikowym ściegiem. Do tego czarne spodnie do kostek i czarno-biała bluzka w krateczkę. Dla odmiany może być druga bluzeczka z czarnego trykotu.

Dla tych pań, które lubią jaskrawe połączenia, nada się kostjum, składających się ze spodni koloru bronzowego, wpadającego w czerwień, trawiastej bluzki z wełnianego aksamitu i bronzowej skórzanej kurtki. Szal może być tego koloru, co spodnie, z frendzlą koloru bluzki. Zeszłoroczna moda białych kostjumów utrzymała się i na ten rok.

Kurtkę może również doskonale zastąpić bardzo ciepły sweter. Pod sweter, czy pod kurtkę nosimy sportową koszulę flanelową, taką męską z rękawami. To jest bardzo praktyczne. Jeżeli zaś pani nie jest jeszcze mistrzynią jazdy na nartach, to nie zawadzi włożenie pod spód drugiego, cieniutkiego pulowerka, może być bez rękawów. Nie mówię już nawet o bieliźnie: samo przez się rozumie się, że musi ona być bardzo elastyczna i ciepła; najlepiej wełniana.

Szaliki, rękawiczki i skarpetki możliwie najjaskrawsze.

Musimy to podkreślić, że granatowy mundur narciarski pozostanie zawsze ulubionym i klasycznym strojem, a wrodzony smak i dystynkcja pani patrafią zawsze tak upiększyć go barwnymi szczegółami, że nie będzie się wydawał „mundurem". Obok granatowego, modne są kolory: zielony, ciemno-beige i bordeaux, zaś z materjałów nieprzemakalnych jedwabie i tweedy.

Na prawo: „Norfolk" z długiemi pumpami bywa coraz częściej używany przez narciarzy.



Ożywiony ruch wieczorny na Krupówkach w Zakopanem.
Fot. Schabenbeck.



Świeży śnieg pokrył grubą warstwą zakopiańskie chaty...
Fot. Schabenbeck.



W stronę Kuźnic sunie korowód sań i narciarzy...
Fot. Schabenbeck.

Modne serwetki koronkowe



Elegancka serweta na stół kwadratowy, wykonana w dwóch odcieniach nici, naturalnym i białym.

Koronki nietylko nie przeżyły się, mimo swego dostojnego wieku, ale można powiedzieć, że osiągnęły właśnie swój najpiękniejszy renesans. Obserwujemy to na powrocie do koronek ręcznie wykonywanych, które coraz więcej wypierają mniej piękne i trwałe koronki maszynowe.

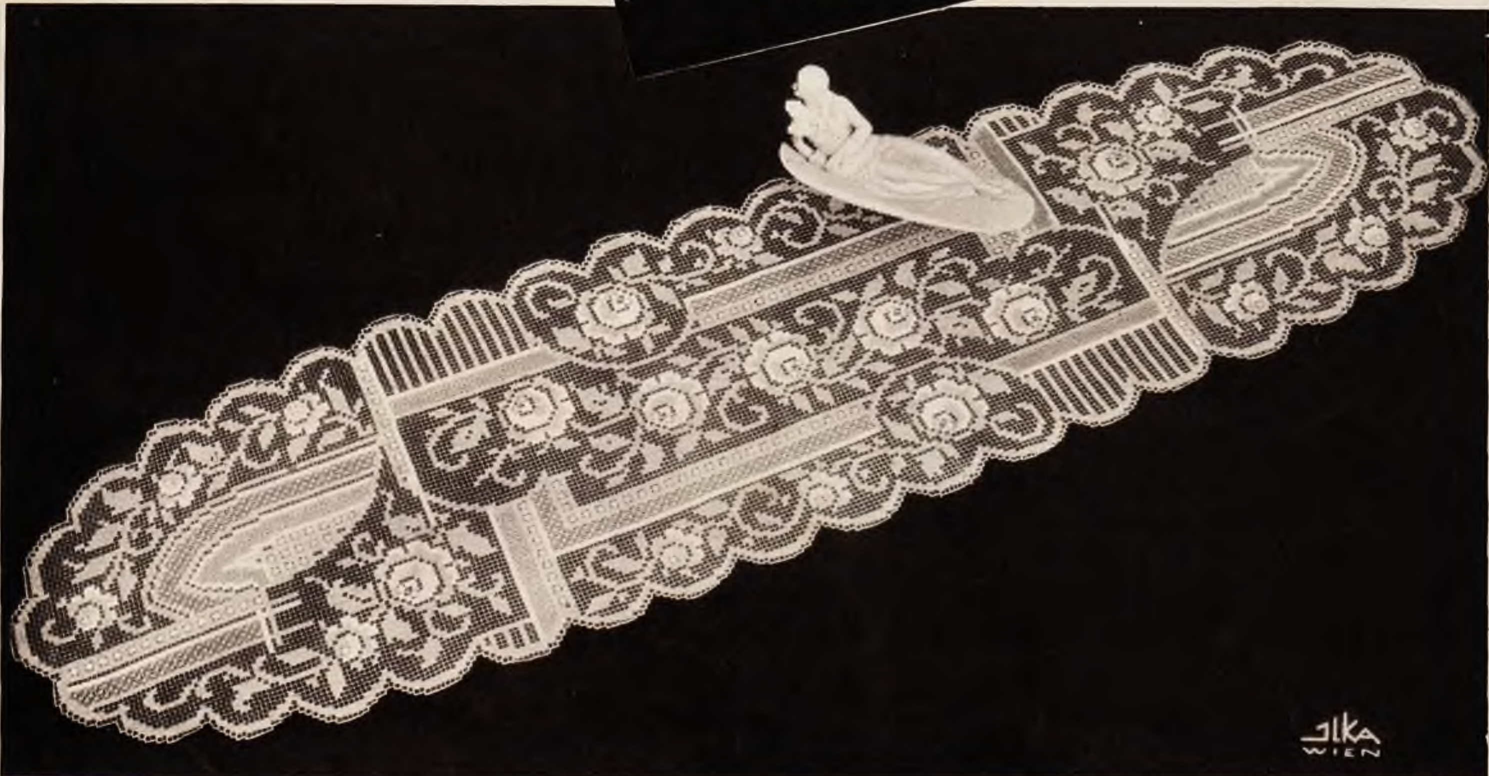
Ręczna robótka, to przytem najlepsza przyjaciółka kobiety. Od bardzo dawnych czasów współżyje piękna pani każdej epoki z ręczną robótką, a przedewszystkiem koronką, której poświęca wolne od innych zajęć chwile, chętnie odając swe rączki tej sympatycznej pracy, przy której można jakże wiele myśleć, marzyć, snuć plany przyszłości...

To też powrót koronek ręcznych w modzie witamy z radością. Studjujemy wzory, kopiujemy motywy, starając się z każdego z nich skorzystać jak najwięcej dla swych indywidualnych potrzeb i gustu. Serwetek koronkowych nigdy nie jest za wiele. Stoliki, półeczki, tacki, bielizna, firanki i t. d. wymagają bardzo dużo i rozmaitych koronek. Czy będą to koronk szydełkowe, czy klockowe, czy wreszcie delikatne z cienkich nici koronki filet, wszystkie przydają sympatycznego charakteru urządzeniu pomieszkania.

Mewa.



Okrągła serweta z grubszych nici — wykonana ściegiem szydełkowym.



Piękna podłużna serwetka na bufet, wykonana ściegiem szydełkowym lub filet.

Dokończenie ze str. 29-ej.

w użyciu, czy nie, muszą być od czasu do czasu porządnie wysmarowane. Nowe buty zwilża się gałgankiem umaczanym w ciepłej wodzie, następnie, gdy woda wsiąknie, smaruje się je równo tłuszczem; podeszwy smaruje się również, lecz bez uprzedniego zwilżania ciepłą wodą. Z nowemi butami warto ten zabieg powtórzyć przynajmniej dwa — trzy razy w ciągu kilku dni, zanim zetkną się ze śniegiem.

W okresie intensywnej jazdy i „przyśpieszonego" suszenia ubrania, buty powinny być smarowane codziennie wieczór, a o ile przemokną — wypychane do suszenia kawałkami miękkiego papieru (gazety), aby nie załamywały się na zgięciach.

Co do rękawic, to prawdziwy sportowiec wie dobrze, że wełny nie suszy się na rozpalonym piecu, lecz tak, aby proces parowania odbywał się powoli.

Narty zaś, porządnie otrzepane ze śniegu, należy związać rzemykami w ten sposób, aby szpice nie zaginały się bardziej ku górze, niż to miało miejsce w chwili nabycia, pozostałe zaś części desek, dla nadania im właściwej linji, wiąże się (spodami do siebie) tak, aby cegiełka drewniana, umieszczona w połowie deski, nazewnątrz, uniemożliwiając im skłonności do tworzenia łuku. Deski ściągnięte dwoma rzemykami na dwóch krańcach powinny stać w chłodnem miejscu, szpicami ku dołowi, szpice bowiem mają nietylko zdolności do zaginania się, ale i odwrotnie.

Zwolenniczka jazdy na saneczkach musi mieć przedewszystkiem najodpowiedniejsze na ten cel „pumpy". Materjał w kraty, czy wogóle niejednolity będzie o wiele odpowiedniejszy od jednokolorowego, na którym znać każdą plamkę. Natomiast pull-over ręcznej roboty może być z wełny dość nawet jaskrawej Naprzykład do spodni w tonach bronzowo-beige, ładnie będzie wyglądać pull-over ceglasty. Jako okrycie wierzchnie najpraktyczniejszą jest kurtka ze skóry, albo płótna „impermeable", podszyta wielbłądzią wełną, chroniącą od wichru i wilgoci.

Najbardziej urozmaiconem i barwnem może być ubranie, przeznaczone na ślizgawkę. Spódnica powinna być dość krótka, niezbyt wąska (najładniej prezentuje się krój kloszowy), żakiecik niedługi, szalik, czapeczka, czy kapelusz sportowy w kolorze żywym, sharmonizowanym z całością.

Do kostjumu bronzowego ładnie będzie wyglądać pull-over, czapeczka i szal w kraty bronzowo-żółte, z czerwoną delikatną nitką. Bardzo oryginelnem i szykownem ubraniem będzie suknia z granatowej wełny z kołnierzem, mankietami i mufką z jasno-czerwonej angory. Wiele kostjumów i sukien, przeznaczonych na ślizgawkę, przybiera się astrachanem, lub innem futrem, krótko strzyżonem.

Na zakończenie kilka słów o tem, jak ma się ubrać pani, która wyjeżdża zimą, aby nieco odpocząć, ale nie używa sportów. Wtedy jedynym sportem będą spacery. Te również wymagają specjalnego ubrania się. Trudno bowiem wędrować na przechadzkę w takiem np. Zakopanem, kiedy jest się ubraną w fokowe palto. Tu nieocenione usługi odda pani krótka, do kolan sięgająca kurteczka na futrze, lub watalinie. Jest lekka i wygodna; pani nie zmęczy się i nie zgrzeje. Do tego — dość krótka, ciepła spódniczka i grube, skórzane buty z wełnianemi skarpetkami, lub też wysokie, sięgające do kolan, filcowe kapce zakopiańskie. Na głowie ciepła czapeczka. Tak ubrana pani może odbywać bez zmęczenia dalekie przechadzki w dzień zimowy. Jeśli jednak wybiera się pani na wycieczkę saniami — może śmiało narzucić na strój spacerowy futro. Nie będzie jej nawet wtedy zbyt gorąco. **M. S. S.**

HOCKI-KLOCKI

Rozwiązanie z N-ru 3-go.

1. PREZENTY GWIAZDKOWE.

Paweł dostał prezenty od Hani, Kasi, Lilki, Marysi i Oli.

2. WYCIECZKA AUTOBUSEM.

Turyści jechali autobusem dwie godziny (30 km.), wracali zaś sześć godzin, idąc po 5 km. na godzinę.

3. KŁOPOTY Z CZARNYMI.

Przeprawy nie można dokonać w mniejszej ilości przejazdów niż siedem: 1. Sambo i Tembo przeprawiają się. 2. Sambo wraca. 3. Sambo i Sir George przeprawiają się. 4. Sir George wraca. 5. Sir George przeprawia się z Jumbo. 6. Sambo wraca. 7. Sambo przeprawia się z Limbo.

4. SZCZEGOLNE MIASTO.

Według założeń zadania liczba Celestynów wynosi 1/10 część mieszkańców miasta. Ich ojcowie oczywiście są również jedną dziesiątą wszystkich mieszkańców — bo każdy Celestyn ma jednego ojca. Ilu wśród tych ojców jest Telesforów? W myśl warunków, co dwudziesty mieszkaniec nazywa się Telesfor, czyli że wśród ojców, których synowie nazywają się Celestynami, jest 1/20 Telesforów, a więc w ogólnej liczbie mieszkańców owego miasta będzie Celestynów synów Telesforów 1/10×1/20=1/200. Rozumując w ten sposób i co do Telesforów, synów Celestynów, otrzymamy 1/10×1/20 czyli również 1/200. Z tego oczywiście wynika, że w mieście tem jest taka sama ilość Celestynów, synów Telesforów, jak i Telesforów, synów Celestynów.

5. PRAWDOPODOBIEŃSTWO.

Wyrzucając z kubka pięć monet, mamy możność otrzymania 32 różnych kombinacyj, ponieważ moneta może upaść na każdą z obu stron, druga również i t. d. Przemnożywszy 2×2×2×2×2 otrzymujemy 32. Możliwe kombinacje są następujące:

(a)	5 orłów	1 kombinacja
(b)	5 reszek	1 „
(c)	4 orły i 1 reszka	5 kombinacyj
(d)	4 reszki i 1 orzeł . . .	5 „
(e)	3 orły i 2 reszki	10 „
(f)	3 reszki i 2 orły	10 „

Widać więc, że warunek nasz spełniają tylko przypadki a, b, c i d — kombinacyj. Pozostałych 20 wypadków nie odpowiada nam, ponieważ nie dają one przynajmniej czterech reszek lub czterech orłów. Wynika z tego, że szanse na wyrzucenie ich są jak 12 do 20 czyli 3 do 5.

HUMOR ZAGRANICZNY

NIEBEZPIECZEŃSTWA WYCIECZKI ALPEJSKIEJ.



PRZEWODNIK DO PASAŻERÓW: Jeżeli się państwo przechylicie na prawą stronę, zobaczycie wspaniałą przepaść głębokości 100 metrów, ale radzę się przechylić na stronę lewą, bo auto traci równowagę!...

(„Le Rire")

NA SCENIE.

Molier w **Katowicach** i Molier w **Wilnie**. Na Śląsku przygotowano **„Chorego z urojenia"**, a w Wilnie **„Mieszczanina szlachcicem"**. Obie komedje niewiele straciły na aktualności, a przedewszystkiem świeżości teatralnej interpretacji. Wszystko zależy od inscenizatora i reżysera. Warto przypomnieć, że „Chory z urojenia" w Teatrze Jaracza, z nim w głównej roli, w reżyserji Perzanowskiej, był wspaniałem arcydziełem teatralnego widowiska. W Wilnie ciężar roli pana Jourdain dźwiga reżyser Czengery, który mimo lekkiej szarży (a może właśnie dlatego) uczynił postać molierowskiego bohatera bliską dzisiejszej publiczności. Niezrównany jako nauczyciel filozofji jest Wołłejko, a dobrze grają Jasińska (pani Jourdain), Lili Zielińska (Dorymena).

W Warszawie w Instytucie Reduty, Juljusz Osterwa z młodym zespołem wystawił komedję Ignacego Grabowskiego **„Niewierny Tomek"**. Przedstawienie cieszy się powodzeniem, a w zespole Osterwy na wyróżnienie zasługują Brochwiczówna, Lewicka, Żabczyński, Wilamowski. **(swh).**

NOWE KSIĄŻKI.

Mija właśnie 200 lat od t. zw. wojny sukcesyjnej, która była właściwie pierwszem polskiem powstaniem. Naczelnym wodzem był wówczas wojewoda Jan Tarło, rozwijający także wielką działalność dyplomatyczną i oświatową. Dzisiaj, gdy epokę powstań zamknął czyn Józefa Piłsudskiego, patrząc na minione czasy, możemy łatwiej ustalić hierarchję zasług Polaków, walczących o wolność i wielkość Polski. Z tą myślą Miłosz **Gembarzewski** opracował historję życia i działalności wojewody Jana Tarło, przytaczając w książce **„Jan Tarło, pierwszy powstaniec Polski"**, wszystkie dokumenty historyczne, jakie się do tych czasów i do tej postaci odnoszą. Same cytaty dokumentów przekonują nas, że Jan Tarło był postacią większą od współczesnych mu królów. Tarło był nietylko wzorem wielkiego rycerza, ale także świetnym dyplomatą, doskonałym organizatorem polityki wewnętrznej, gospodarczej i społecznej, twórcą wielu placówek życia oświatowego, m. in. słynnego „Collegium Nobilium" w Warszawie. Ks. Stanisław Konarski urzeczywistnił tylko pomysł Jana Tarły, który swój plan poparł także środkami finansowemi. Bardzo ciekawa książka Gembarzewskiego wydana została w pięknej nowoczesnej szacie graficznej, nakładem Głównej Księgarni Wojskowej.

Amatorzy popularnej, sensacyjnej literatury z przyjemnością i zaciekawieniem przeczytają powieść kryminalną E. Ph. **Oppenheima „Szach i mat"** (nakład „Roju", przekład M. Zydlera). Intryga powieści interesująca i prawdopodobna, rozwinięta jest pomysłowo, a rzucona na tło wielkiej wojny.

Słynna „Saga rodu Forsyte'ów" Galsworthy'ego przypomni się czytelnikom książki **„Ludzie w rozterce" Pearl S. Bucka** (nakład „Roju", przekł. L. Ciechanowskiej), która stanowi jedno z ogniw cyklu, opisującego dzieje chińskiej rodziny chłopskiej.

Ludzi teatru zainteresują niewątpliwie pamiętniki znanego aktora i reżysera Pawła Owerłło p. t. **„Z tamtej strony rampy"**. Wspomnienia te z okresu 50-letniej pracy, poprzedzone przedmową E. Świerczewskiego (nakł. F. Hoesicka) stanowią ciekawą kopalnię materjałów do historji sceny polskiej. **(swh).**

To warto poznać...



Niedziela 2 lutego.

12.15 Poranek symfoniczny.
14.00 „Zachowane pozory" — humoreska.
14.20 Muzyka lekka.
16.00 „Na Gromniczną" — opowiadania dla dzieci.
17.00 Muzyka taneczna w wyk. Zespołu Franciszka Witkowskiego.
17.40 „Warszawska migawka" regjonalna".
18.00 „Zgadnij kto i co" — zagadka muzyczna.
18.30 „Biedna młodość" — słuchowisko.
20.00 Muzyka operowa.
21.00 Na wesołej Lwowskiej Fali.
21.30 „Ziarna polskie po świecie" — feljeton.
21.45 „Olimpjada tenorów" — aud. konkursowa.
22.05 „Tańczmy" — Mała Orkiestra P. R.

Poniedziałek, 3 lutego.

12.15 Muzyka salonowa.
15.15 Wiadomości o eksporcie polskim.
15.30 Kwintet Henryka Golda.
16.15 Muzyka lekka.
16.45 „Szopka medyczna".
17.20 Maurice Dellanoy — Rapsodja na saksofon, trąbkę, wiolonczelę i fortepian.
18.00 „Canzonetty i arje operowe starych mistrzów bel-canta".
18.30 „Czy ryby naprawdę są nieme" — pogadanka dla dzieci.
20.30 Muzyka lekka.
21.00 „Mozaika muzyczna".
21.30 Wieczór literacki poświęcony Janowi Kochanowskiemu.
22.00 VIII Koncert historyczny.
23.05 Muzyka taneczna.

Wtorek, 4 lutego.

12.30 Koncert orkiestry kameralnej Adama Hermana.
15.30 Sekstet Jadwigi Kleczniowskiej.
17.00 Historja herbaty — odczyt.
18.00 XI koncert z cyklu „Kwartety smyczkowe Haydna".
18.30 Poeta mistyk — szkic literacki.
20.00 „Róża Stambułu" — operetka.
21.45 Ryszard Wagner — fragmenty z dramatów muzycznych.
22.30 Witaminy w pożywieniu człowieka — odczyt dla lekarzy.
23.05 Muzyka taneczna.

Środa, 5 lutego.

12.15 Kobiety zasłużone — pogadanka.
12.30 Koncert zespołu Haliny Adamskiej.
15.30 Muzyka baletowa.
16.20 Koncert Chóru „Eryano".
17.00 Dlaczego jestem tak niezadowolony — odczyt z cyklu „Dyskutujmy".
17.20 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego.
18.00 Recital śpiewaczy Stefanji Millerowej.
21.50 O tradycji kupieckiej — pogadanka dla kupców.
22.00 „Olimpjada tenorów" aud. konkursowa.
22.05 Muzyka taneczna.

Czwartek, 6 lutego.

12.15 Poranek muzyczny dla młodzieży.
13.00 Rytmy taneczne XVIII wieku.
15.30 Mozaika muzyczna.
16.00 Gadanina Starego Doktora.
16.15 Muzyka polska.
17.00 O samokształceniu — „Czytanie książek" — pogadanka.
17.15 Muzyka francuska.
18.00 Kwintet salonowy Wiesława Wilkosza.
20.00 Sabat oper — lekka audycja muzyczna.
21.00 „Paweł zabija Gawła" — słuchowisko.
22.05 Johannes Brahms op. 115 Kwintet klarnetowy.
22.35 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen.
22.40 Muzyka taneczna.

Piątek, 7 lutego.

12.40 Koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej.
15.30 Arje i pieśni w wyk. Jana Kiepury.
16.00 Pogadanka dla chorych.
16.15 Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
17.00 Reportaż.
17.20 Muzyka taneczna.
18.00 Ballady Adama Mickiewicza z muzyką Karola Loeve'go.
19.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R.
20.10 Koncert symfoniczny.
22.30 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen.
22.50 Muzyka taneczna.

Sobota, 8 lutego.

12.15 O organizacji hodowli koni — pogadanka.
12.25 Melodje operetkowe.
14.30 Muzyka salonowa.
15.00 Igraszki romantyczne — fragment z powieści Piotra Choynowskiego.
15.30 Koncert zespołu Pawła Rynasa.
16.15 Wesoła audycja dla dzieci.
17.06 Z sekretów stolicy — „Pytje i Kassandry" — reportaż.
17.50 „Karłowicz w Tatrach" — reportaż muzyczny.
18.15 Polskie utwory fortepianowe w wyk. Heleny Ottawowej.
20.00 Koncert w wykonaniu orkiestry P. R.
21.30 „Szepty balowe" — obrazki karnawałowe.
22.30 Reportaż z Igrzysk Olimpijskich w Garmisch Partenkirchen.
22.35 Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.